KUŹNICA

ORGAN MŁODEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

1930 Warszawa Rok 3.

Nr. 5

15 — 30 maj

Cena numeru 30 groszy

O CZYSTOŚĆ WALKI POLITYCZNEJ

Motto: „Trzeba jąć się wielkiego dzieła organizowania Państwa. Trzeba organizować Państwo, jako całość organiczną a nie marnować energji na tworzenie maleńkich i karłowatych wewnętrznych państewek".

(Z deklaracji „Legjonu Młodych").

Podział społeczeństwa polskiego na partje polityczne, wzajemnie się zwalczające, jest zrozumiały o tyle, o ile wynika on z istotnej różnicy zapatrywań na realne sposoby pracy, mającej na celu istotne dobro Państwa. W takim też układzie stosunków mógłby on być uznany za pożyteczny w pewnym stopniu, gdyż stwarzałby możność dla szeregu jednostek o odrębnych zgoła sposobach patrzenia na świat, przepracowywanie swych poglądów i wartości, dla najwyższego dobra — dobra Ojczyzny. Z chwilą jednak, gdy walka ideowa między przeciwnikami politycznymi zejdzie na plan drugi, staje się jedynie walką taktyczną i nabiera tak wielkiej zaciętości, iż w efekcie swym dochodzi do rugowania władzy Rządu, jak to ma miejsce niejednokrotnie obecnie, staje się ona wybitnie szkodliwą dla normalnego rozwoju Państwa.

Rozpatrując obecną sytuację polityczną, musimy dostrzedz z łatwością, iż nienawiść do przeciwników politycznych, doprowadza niejednokrotnie opozycję przeciwrządową, obojętne, z tego czy innego skrzydła, do zaciekłej nienawiści i traktowania ogólnych zagadnień gospodarki państwowej jedynie pod kątem widzenia osiągnięcia maximum zadowolenia partyjnego, bez oglądania się na dobro Państwa.

Nasi przeciwnicy polityczni usilną pracą, opartą przedewszystkiem na negacji, wytworzyli specjalny punkt widzenia na obóz, grupujący się przy rządach pomajowych.

W swej zapamiętałości nie rozróżniają już oni przeciwieństwa między przeciwnikiem politycznym a wrogiem. Roznamiętnieni w walce, nie orjentują się, iż nienawiść jest to ciężka choroba, która mąci myśli, zatruwa uczucie, psuje i osłabia wolę. Akcją swą wytwarzają w społeczeństwie, lub usiłują wytworzyć, zamiast zjednoczenia w chwilach trudnych pod względem ekonomicznym i politycznym, by tem łatwiej mogło by ono sprostać zadaniu, wytworzenia mocnego i zdolnego do samodzielnego bytu Państwa, rozbicie, niezadowolenie ze wszystkiego — a w rezultacie pesymizm i apatję.

Prowadząc walkę polityczną, kierują się w niej nienawiścią, w ocenie ludzi — za kryterjum zdolności, biorąc przynależność i wierność partyjną — zatracają najcenniejsze dobro, znajdujące się w duszy człowieka, jakiem jest wiara w przyszłość i zdolność odporu.

Pozbawieni samokrytycyzmu, nie przebierają w środkach w walce ze swymi „wrogami" politycznymi, nie cofając się przed zarzutami oszczerstw i kłamstw.

Patrząc retrospektywnie na stosunek partyj politycznych do potrzeb Państwa, jako takiego, od chwili jego powstania, aż do dni obecnych, ze smutkiem widzimy, iż nagość kształtował się on pod wpływem bieżącej taktyki politycznej chwili. Wnikając bliżej konstatujemy, iż przesłonięty nienawiścią do poszczególnych jednostek, lub uwzględniający często kroć interesy pewnych jedynie warstw społecznych, pod tym punktem widzenia rozpatrywał najważniejsze zagadnienia państwowe, ustosunkowywując się zazwyczaj wprost negatywnie do najpilniejszych zagadnień, mających dobro Państwa na celu.

Zwycięskie i długotrwałe wojny, zakończone pomyślnie dla Polski, w r. 1920, genjuszem wojennym Marszałka Piłsudskiego, nie potrafiły znaleść uznania i podziwu w zakamieniałych nienawiścią sercach obozu narodowo-demokratycznego i inych partyj pobratymczych.

Nienawiść do dzieła wielkiego Wodza, doprowadziła je do szukania przyczyn zwycięstwa, gdzie indziej — znaleziono sobie urojonych obcych bogów, byle nie pozostawać w świadomości rzeczywistości. Ta akcja nie przyczyniła się do pogłębienia wiary we własne siły. To chyba jasne.

Stabilizacja marki polskiej i reforma walutowa, przeprowadzona w chwili największego rozwichrzenia knowań partyjnych i całkowitego chaosu gospodarczego, wynikłego po opuszczeniu władzy przez Marszałka Piłsudskiego, była dziełem rządów poza parlamentarnych i napotykała w dziele sanacji skarbu polskiego, na największe trudności, znowuż ze strony partyj politycznych. Kryzys roku 1925 ma bardzo poważne przyczyny w znaczeniu osłabienia psychiki moralnej społeczeństwa. To osłabienie odporności było wynikiem usilnie prowadzonej kampanji partyj politycznyc h,nie mogących nigdy pogodzić się z faktem iż reforma walutowa z r. 1924 była nie ich dziełem.

Aż wreszcie stało się jasnem, że Polska nie może pozostawać na losie tych czy innych paktów, politycznych, lub kompromisów sejmowych. Było za dużo nieprawości w targach o władzę nad Polską wśród tych, którym spadła ona za darmo. Rok 1926 wynikł jako skutek bezpośredni, konieczności ukrócenia rozwydrzenia partyjnego, przeprowadzenia bezwzględnej z nim walki, wzmocnienie społeczeństwa, i danie mu należytej siły odporu.

Odsunięci od władzy i knowań macherzy polityczni zrazu przycichli, zdawać by się mogło, iż otworzyły im się oczy na ich własne nieprawości. Lecz wkrótce duch warcholstwa ożywiać się począł. I dziś znowuż jest czas spojrzeć czujnie na obecną pracę partyj opozycyjnych.

Wokoło rozlega się posępne krakanie, wróżące Polsce jaknajgorsze chwile. Chcące się odegrać politycznie partje, szerzy niewiarę, niepokój i zwątpienie, na podobnym tle, istniejącego obecnie kryzysu ekonomicznego, wśród niedostatecznie wyrobionego gospodarczo społeczeństwa, by mogło się skutecznie tej akcji opierać.

Ta robota nie idzie na pożytek Państwu. To zrozumiałe. Lecz przecież nie to jest jej zadaniem. Zmniejsza ona odporność moralną społeczeństwa, osłabia jego siły. W rozumowaniu jednak „taktycznym" partyj. te czynniki nie wchodzą w rachubę. Idzie tutaj bowiem opozycji o najświętszą wartość, o ideał najwyżej ze wszystkich innych postawiony — o zdobycie maksymalnej ilości zwolenników. Krótko mówiąc, o odegranie się polityczne. Jakiemi zaś środkami należy walczyć — to naszych „patrjotyczno-narodowych czy klasowych stronnictw — nie obchodzi. Powstałe w okresie niewoli partje, dotychczas nie rozumieją i nie potrafią zmienić taktyki postępowania, którą stosowały wobec zaborców.

Mylą się jednak ci wszyscy, którzy, przeprowadzając analogję między kryzysem gospodarczym w r. 1925 i rokiem obecnym, sądzą, iż ogół społeczeństwa polskiego pójdzie za podszeptami, pełnymi zatrutych myśli, opozycji przeciwrządowej.

Mylą się w swoich rachubach, gdyż Rządem kieruje Marszałek Piłsudski. To wystarczy, by wszelkie najsprytniej przeprawcowane posunięcia taktyczne opozycji nie zostały zrealizowane.

(C. d. na str. 2)



12/14 MAJA 1926 R.

CZTERY LATA MIJAJĄ OD CHWILI, GDY NA ZEGARZE DZIEJOWYM GROM DZIAŁ WYBIŁ DATĘ REWOLUCJI MAJOWEJ.

DATA TRAGICZNA, ALE ŚWIĘTA. TRAGICZNA, BO NIEUBŁAGANE PRZEZNACZENIE POSTAWIŁO W ORĘŻNYM SZYKU BRATA PRZECIW BRATU. ŚWIĘTA BO ZNACZONA NAJCIĘŻSZĄ W ŻYCIU DECYZJĄ WODZA, BY POSTAWIĆ ZAPORĘ PRĄDOWI NIEPRAWOŚCI I ZGNILIZNY, KTÓRY NIÓSŁ NAS — BEZWOLNYCH, KU OTCHŁANI NOWEJ EPOKI SASKIEJ.

DZISIAJ SKŁADAMY HOŁD TYM WSZYSTKIM, KTÓRZY PRZEZ KREW SWOJĄ PRZYCZYNILI SIĘ DO LEPSZEGO JUTRA RZECZYPOSPOLITEJ. A WIĘC TYM, KTÓRZY NA ZEW UMIŁOWANEGO KOMENDANTA BEZ WAHANIA PONIEŚLI MŁODE ŻYCIE I TYM, KTÓRZY MNIEMAJĄC, ŻE TAK IM NAKAZUJE WIERNOŚĆ DLA ZŁOŻONEJ PRZYSIĘGI BOHATERSTWEM OKUPYWALI GRZECHY SWYCH PRZYWÓDCÓW.

JEDNI I DRUDZY W RÓWNEJ MIERZE ZASŁUGUJĄ NA PAMIĘĆ POTOMNYCH. BO CZYN CZŁOWIEKA ODDAJĄCEGO SWE ŻYCIE ZA WYŻSZE, NIEMATERJALNE WARTOŚCI, MA ZAWSZE SWOJĄ WAGĘ KRWI NA SZALACH HISTORJI.

HOŁD I CZEŚĆ SKŁADAMY CIENIOM TOWARZYSZÓW BRONI, POLEGŁYCH NA ULICACH WARSZAWY, ŚLUBUJĄC, ŻE PRZYKŁAD ICH BĘDZIE NAS WIÓDŁ ZAWSZE W SŁUŻBIE RZECZYPOSPOLITEJ.

JEDNOCZEŚNIE POCHYLAMY GŁOWY, PRZED PRZECIWNIKIEM HOBATERSKIM, A TRAGICZNYM, KTÓREGO KREW NAKŁADA NA NAS OBOWIĄZEK, ABYŚMY NIE URONILI NIC Z TAK CIĘŻKO WYWALCZONYCH ZDOBYCZY REWOLUCJI.

O WŁADZĘ PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

III. kontrasygnata aktów Prezydenta.

Przyczyną, która pod rządem Konstytucji Marcowej czyniła władzę Prezydenta szczególnie słabą, więcej — zgoła iluzoryczną, była instytucja kontrasygnaty. Art. 44 ustęp 4 głosi: „każdy **akt rządowy** Prezydenta wymaga dla swej ważności podpisu Prezesa Rady Ministrów i właściwego ministra, którzy przez podpisanie aktu biorą zań odpowiedzialność“. Polska praktyka konstytucyjna interpretuje powyższy przepis niezmiernie rozszerzająco: Prezydent nie może dokonać żadnej **czynności urzędowej**, powziąć żadnej decyzji, wygłosić żadnego przemówienia bez wyraźnej lub milczącej aprobaty każdorazowej Rady Ministrów. Jak powiedziano kiedyś — jest on swobodny tylko w zakresie swego życia fizjologicznego, poza tem winien być jedynie marjonetką. Doszło do takich dziwolągów, że nawet pismo o przyjęciu dymisji gabinetp kontrasygnuje premjer ustępujący, zaś nominację świeżego rządu — premjer nowo-mianowany. Nadmienić zresztą wypada, iż złośliwy komentator mógłby się zapytać, jakiem właściwie prawem pan X czy Y kontrasygnuje nowy rząd, jako „Prezes Rady Ministrów“: wszak z prawnego punktu widzenia premjera w tym momencie jeszcze niema, gdyż na piśmie nominacyjnem ... brak kontrasygnaty, a do momentu kontrasygnaty pismo to nie jest ważne, więc ów pan X czy Y jest ciągle jeszcze zwykłym obywatelem, nie zaś premjerem, i nie ma prawa używać tego tytułu... Wspominamy o tem jedynie nawiasowo dla wykazania tem jaskrawiej nonsensowności i sztuczności tej koncepcji prawnej.

W jednym tylko wypadku praktyka poszła na odstępstwo od powyższego systemu: mianowicie począwszy od 1924 r. Prezydent wykonywa prawo łaski (art. 47) bez niczyjej kontrasygnaty. Zostało to dokonane w drodze faktycznego ususu, **wbrew** wyraźnemu brzmieniu konstytucji.

System kontrasygnaty przywędrował na kontynent europejski z Anglji wraz z parlamentaryzmem. Zjawisko to jest wypływem typowo angielskiej zasady prawnej (t. zw. „fikcji“), iż „król nie może źle czynić“ („the King cannot do wrong“), a zatem stoi ponad prawem i nie może być na drodze legalnej pociągnięty do odpowiedzialności.

Tymczasem w Polsce, jak również i w kilku innych pańtwach, sytuacja przedstawia się pod tym względem odmiennie oryginalnie: wprowadzono instytucję kontrasygnaty, natomiast odrzucono zasadę nieodpowiedzialności głowy państwa, mimo że kontrasygnata właśnie z tej sady wypływa. W myśl art. 51 konstyt. Prezydent może być przez Sejm względnie nieznaczną większością ($^3/_5$) postawiony w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu za „zdradę kraju lub pogwałcenie konstytucji“. Niezależnie od tego, jeżeli Sejm taką samą większością zechce uznać, iż „Prezydent przez trzy miesiące nie sprawuje urzędu“, to może go tego stanowiska pozbawić (art. 42). Ponadto bywały wypadki, iż osoba Prezydenta stawała się przedmiotem publicznej krytyki **politycznej** (niedawna odezwa Centro-lewu), co zresztą było sprzeczne z ustaloną przez konstytucję nieodpowiedzialnością parlamentarną Prezydenta (art. 51). W tych warunkach kontrasygnata stała się zupełnie zbyteczna, gdyż obok niej istnieją inne, niemniej skuteczne, środki przeciwko naruszeniu konstytucji przez Prezydenta i kontrasygnatę należy zatem albo znieść zupełnie, albo przynajmniej znacznie ją ograniczyć.

Komisja konstytucyjna Sejmu na posiedzeniu dn. 13 marca 1930 r. uchwaliła zasadę, iż pewne kategorje aktów Prezydenta nie wymagają kontrasygnaty, a następnie ustaliła, iż do grupy tych aktów należą: 1) mianowanie i odwołanie **prezesa** Rady Ministrów oraz urzędników kancelarji cywilnej i wojskowej Prezydenta; 2) akty łaski i 3) zrzeczenie się urzędu Prezydenta.

Projekt Bloku Bezpartyjnego przewidywał, iż nie wymagają kontrasygnaty **ponadto**: a) orędzia i wszelkie akty, dotyczące Sejmu i Senatu; b) mianowanie i odwołanie Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych i Prezesa N. I. K. P.; c) wszelkie akty Prezydenta, jako zwierzchnika sił zbrojnych, w tej liczbie nominacja oficerów; d) mianowanie sędziów; e) mianowanie Prezesa i ⅓ członków Trybunału Stanu.

Mieczysław Szerer w swojej broszurze „Rząd czy Prezydent“ (Warszawa, 1929), mówił, jak następuje: Widzę potrzebę (przyznania Prezydentowi) dwóch zasadniczych prerogatyw które nie wymagałyby kontrasygnaty: powoływania rządu i rozwiązywania izb“. A dalej: „Proszę pomyśleć:Prezydent wybiera samodzielnie członków rządu...; jeśliby nawet dyskusja kontrolna (w Sejmie) zakończyła się votum nieufności dla rządu, Prezydent może, znów samodzielnie, rozwiązać izby. Czyż to jest mała władza?“

Naszem zdaniem, słuszne jest najzupełniej stanowisko Bloku Bezpartyjnego. Pewne wątpliwości może wywołać jedynie kwestja mianowania prezesa i członków Trybunału Stanu. Ponadto należałoby zwolnić od kontrasygnaty „weto“ ustawodawcze, w razie jego ewentualnego wprowadzenia.

IV. „Veto“ ustawodawcze.

Większość publicystów, zabierających głos w debacie konstytucyjnej, podnosiła z naciskiem konieczność przyznania Prezydentowi prawa weta zawieszającego w stosunku do uchwalonych przez parlament projektów ustaw. Byłoby to największe bodaj **novum** w porównaniu ze stanem obecnym.

W myśl konstytucji marcowej Prezydent nie bierze żadnego czynnego udziału w ustawodawstwie. Funkcja jego sprowadza się do czysto formalnego aktu zarządzenia ogłoszenia uchwalonej ustawy, przyczem nie ma on prawa zgłosić sprzeciwu ani ze względu na sprzeczność z konstytucją, ani ze względów merytorycznych, t. j. polityczno-gospodarczych; obrazowo możnaby powiedzieć, iż Prezydent jest w tym wypadku jedynie piastunem pieczęci państwowej. Taka nawskroś bierna rola jest niezmiernie upokarzająca dla głowy państwa i nie odpowiada jej stanowisku.

Istnieje wszakże jeszcze inny motyw, bardziej zasadniczy, przemawiający za wprowadzeniem instytucji veta. Zgodnie z naszemi założeniami, Prezydent nadaje ogólny kierunek polityce państwa, jako przedstawiciel polskiej racji stanu; ponosi on za swoje urzędowanie odpowiedzialność najpoważniejszą, jaka istnieć może, bo przed historją; z powyższych względów jest nieodzowne, aby miał on możność zwrócenia uwagi ciałom prawodawczym, iż w jego rozumieniu uchwalony projekt ustawy jest szkodliwy dla kraju lub nie nadaje się do wprowadzenia w życie. Nie wchodzimy tutaj w szczegóły i nie precyzujemy, jaka powinna być dalsza procedura legislatywna po zgłoszeniu veta, ani w jakim trybie zakwestjonowany projekt może uzyskać — mimo veta — moc obowiązującą (wpływ czasu albo większość kwalifikowana, albo referendum). Stwierdzamy tylko, iż jest życiowo zupełnie niezrozumiałe, aby najwyższy urzędnik Rzeczypospolitej, uosabiający jej majestat, mógł być pozbawiony prawa protestu czyli poprostu możności ostrzeżenia parlamentu przed ujemnemi następstwami uchwalonego projektu. Doprawdy — nie stanowi to żadnego zamachu na demokrację!

Obrońcy **status quo** wysuną niewątpliwie zarzut, iż przyznanie Prezydentowi prawa veta godzi w monteskjuszowską zasadę „rozdziału władz“, gdyż daje egzekutywie prawo ingerencji w czyności władzy ustawodawczej. Doktrynę Monteskjusza poddaliśmy analizie już przedtem, w rozdziale I niniejszych uwag. Obecnie ograniczymy się jedynie do zacytowania słów Jellinka, jakże przekonywujących, szczególnie po naszem doświadczeniu dziejowem: „Na rzeczywisty ustrój państwa oddziaływują względy celowości politycznej, nie zaś architektonicznego piękna i one to powodować muszą różne odchylenia od wyraźnie uznawanych reguł“. („Ogólna nauka o państwie“).

Zaznaczyć przy sposobności należy, iż w razie wprowadzenia veta, o ileby przytem był ustanowiony specjalny Trybunał dla orzekania o zgodności ustaw z konstytucją, — instytucja Senatu stałaby się zupełnie zbędna. Sejm i Prezydent badaliby merytoryczną, t. j. polityczną stronę projektu, zaś Trybunał Konstytucyjny orzekałby o jego formalnej legalności. W przeciwnym razie tok ustawodawstwa zbytnioby się przedłużał. Analogicznie w procedurze sądowej cywilnej i karnej wszystkich krajów istnieją najwyżej 3 instancje, a mianowicie 2 t. zw. merytoryczne i trzecia kasacyjna (w Polsce — Sąd Najwyższy).

*
* *

Takie są najważniejsze zarysy reformy konstytucyjnego stanowiska Prezydenta. Realizację ich uważamy za konieczną dla dobra Rzeczypospolitej. Innych kwestji, jako mających charakter drugorzędny, lub bardziej specjalny, nie poruszamy na łamach „Kuźnicy.

Dr. Feliks Janowski.

UDZIAŁ MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ

W WALKACH MAJOWYCH

Mówiąc o udziale młodzieży akademickiej w wypadkach majowych ma się zazwyczaj na myśli grupę studentów, którzy opowiedzieli się po stronie rządu Witosa i w jego obronie spłacili krwawą daninę na lotnisku Mokotowskiem.

Grupa ta istotnie najliczniejsza, bo licząca około 160 ludzi, składała się w przeważnej części z korporantów, którzy dzięki swej sprawnej organizacji, zmobilizowali swe siły zaraz z początkiem walk i w nocy z dnia 12 na 13 maja zdołali się przedostać do obozu wojsk rządowych.

Ofiarność ich w boju 13 i 14 maja zasługuje tem bardziej na podkreślenie, że walczyli w bardzo złych warunkach, pozbawieni żywności i pozostawieni sami sobie przeciwko karnym i wyćwiczonym oddziałom wojskowym wspomaganym przez drużyny strzelca. Ponieśli też poważne straty: około 10 poległych i kilkunastu rannych. Podkreślamy też zawsze, mimo różnic, które nas dzielą, szacunek, na jaki zasługują.

Szacunku tego nie można jednak rozciągnąć na inną — szczęściem daleko mniej liczną — grupę wszechpolaków i korporantów, którzy okryli się powszechną wzgardą, strzelając skrytobójczo z okien i stryszków do walczących na ulicach wojsk.

Dużo mniej słyszy się o udziale młodzieży po stronie Marszałka Piłsudskiego. Bo i udział ten, wskutek braku sprężystej organizacji był liczebnie daleko słabszy, sięgał około 50 ludzi, przeważnie grupujących się dokoła starszego pokolenia „Postępówki“ *). Było również parę osób z O. M. N‘u i akademickiego P. O. W. Kilku młodych socjalistów robiło ruch wśród młodzieży robotniczej na Woli i Ochocie.

Zaznaczyć jednak należy, że do obowiązku znalezienia się z bronią w ręku w szeregach wojsk Marszałka poczuli się przedewszystkiem **przywódcy** ówczesnych akademickich Piłsudczyków. **Głoszone hasła i poglądy poparli oni wówczas czynem.** Niejednokrotnie też w ciągu walk mieli poruczone specjalne misje nawiązanie łączności między Warszawą, Pragą, popołudniu 12 maja, zajęcie „Dwugroszówki“ w nocy z 13/14 maja i hal) i dowodzili oddziałami.

Natomiast po stronie wojsk rządowych **stanęła sama szara brać wierna ideom,** jakiemi ją karmili leaderzy. **Leaderów tych jednak** (za wyjątkiem J. Czerwińskiego) **zabrakło na polu walki.**

Ci którzy najgłośniej krzyczeli i dzisiaj jeszcze krzyczą; ci, którzy na parę dni przed Rewolucją Majową odgrażali się, że: „kto nie z nami — tego w mordę!“, ci, którzy swoich kolegów organizacyjnych popchnęli do walki, ci wszyscy **Rabscy, Mosdorfowie, Piaseccy... pochowali się w mysie nory,** aby z nich wyhynąć i zabrać głos, kiedy już nie było niebezpieczeństwa.

I stąd ta pogarda, jaką dla nich żywimy i która sprawia, **że ich,** ale tylko ich i takich, jak oni z pośród tak licznego dziś przecież obozu „Wielkiej“ Polski **nie traktujemy jak kolegów ani ludzi honoru.**

Dla tych zaś wszystkich, którzy z tej czy z tamtej strony spełnili tragiczny obowiązek ideowy nakazywany im przez sumienie, dni majowe, przesłonięte mgłą niewątpliwej żałoby, będą jednocześnie stanowiły chwilę próby, o której nie można wspominać bez dumy.

*) Między innymi dzisiejszy komendant „Legjonu Młodych“ kol. Zbigniew Zapasiewicz.

(dokończenie ze str. 1-ej)

My, młodzi, patrzymy śmiało i jasno w przyszłość naszej pracy, oparci mocno o ideologję Niepodległości zrealizowaną przez Marszałka Piłsudskiego, kierujemy całe swe wysiłki i zdolności na realną i rzetelną pracę, na przeznaczonych nam przez życie odcinkach.

W pracy naszej nie dążymy do pogłębienia rozdziału wśród społeczeństwa polskiego, lecz pragniemy usilnie pracować nad jego spajaniem i cementowaniem.

Dlatego też zwracamy się do naszych przeciwników politycznych, by zaprzestali destrukcyjnej swej pracy, mającej za zadanie siać nienawiść jednych do drugich, Po raz ostatni mówimy, byście zwrócili swe zdolności i pracę, na pogłębianie istniejących wartości, byście lojalnością wobec władz państwowych, dali dowód, że w swej akcji politycznej nie chcecie jednak walki z Państwem Polskiem.

Dla nas bowiem każdy obywatel polski, pracujący ofiarnie dla dobra Ojczyzny, choćby przeciwnik ideowy, zasługuje na bezstronną ocenę i poszanowanie swej pracy...

Lecz będziemy walczyć do ostateczności i zwyciężymy, gdy przyjdzie o rozgrywkę najwyższą — walkę o duszę polaka. Wy chcecie ją zaprawić trucizną — pesymizmem, niewiarą we własne siły i szukaniem obcych bogów.

My ją chcecy wzmocnić, napełnić potężną wiarą w mocarstwową rolę Polski, a uodpornić na wszelkie nieoczekiwane zło w przyszłości.

ZADANIA POLSKI NA WSCHODZIE

Wiekowa niewola najfatalniej dała się odczuć w naszych stosunkach kresowych, choć pozornie polskość na Kresach wyszła zwycięsko. Pamiętajmy o tem, że jeśli nie chcemy utraty tego, co teraz mamy na Wschodzie, to nie powinniśmy się nigdy w naszem postępowaniu kierować jakiemiś chwilowemi odruchami czy też uczuciami.

Myśl polska na Wschodzie powinna iść nurtem głębokiej mądrości sięgającej nie w jutro czy pojutrze, lecz mądrości sięgającej w przyszłość w najszerszem tego słowa znaczeniu.

Przystępując do rozważań musimy odróżnić dwa zasadnicze punkty widzenia, z których można rozpatrywać nasze zagadnienia.

Możemy wyjść 1-o z punktu widzenia na stosunki obecne i 2-o z punktu widzenia historycznego tak przeszłości, jak i przyszłości.

Zwykle pomieszanie pojęć i wszelkie niedorzeczności wypływają właśnie z nierozróżnienia tych zasadniczych momentów.

Jest zupełnie zrozumiałem, że w naszych rozważanich nie możemy oprzeć się na jednym tylko momencie, czy to teraźniejszym, czy historycznym. Groziłoby to nam w pierwszym wypadku krótkowzrocznością, w drugim — nieżyciowem doktrynerstwem.

Musimy drogą indukcji na podstawie faktów historycznych tworzyć nasze tezy i uzgadniać je z dzisiejszą rzeczywistością.

Zagadnieniami kresowemi są zagadnienia związane z t. zw. mniejszościami narodowemi. Aby dokładnie ocenić doniosłość tych zagadnień, musimy zdać sobie sprawę z tego, że n. p. kwestja ukraińska, która stanowi 90% spraw innych zagadnień kresowych, jest zagadnieniem centralnem w zachodniej Europie.

Interesują się nią z jednej strony Londyn i Paryż, a z niemi oczywiście Warszawa, z drugiej strony Moskwa, Berlin, który przywiązuje kolosalną wagę do tej sprawy i stara się wyciągnąć z niej korzyści, postępuje wobec danych spraw raz tak, drugi raz inaczej, zależnie od konjunktur polityki międzynarodowej.

Niemiecka inicjatywa i pomoc w różnych przejawach życia mniejszości słowiańskich na Ziemiach Wschodnich jest dziś faktem niezaprzeczonym.

Gdy zdamy sobie sprawę, że zagadnienia mniejszości nabierają wówczas znaczenia europejskiego, dopiero z całą jaskrawością uwypukli się niedocenianie tych spraw przez ludzi uważających je za czysto lokalne, nie mające żadnej roli w życiu państwowem. Uwypukli się wtedy niedorzeczność poglądów, według których sprawę białoruską czy ukraińską można rozstrzygnąć zapomocą kilkunastu pułków wojska i sprawnie funkcjonującej policji. Ten kto się wczuł w życie Kresów, w życie wsi — bo ta przedewszystkiem stanowi Kresy — ten wie, że przemocą i gwałtem do niczego się nie dojdzie, a tłumienie przejawów życia narodowego mniejszości słowiańskich zapomocą wojska i policji skończyłyby się dla Rzeczypospolitej fatalnie.

Używałem tu wielokrotnie słów „mniejszości narodowe". Każdy człowiek, który zacznie zastanawiać się nad zagadnieniami kresowemi, zetknie się przedewszystkiem z problemem t. zw. „mniejszości narodowych". A ujmując zagadnienia kresowe wyłącznie jako zagadnienia mniejszości narodowych popełnia się błąd nie do przebaczenia. Błąd, który wprowadza chaos i dezorjentację i który mógłby w przyszłości zemścić się bardzo srogo.

Należy spojrzeć na tę sprawy z punktu widzenia twórczej historyczności uwspółcześnionej w teraźniejszych stosunkach.

Wielka wojna tak przeobraziła okoliczności życia ludzkiego, stworzyła tyle nowych rzeczy, że całokształt życia zmienił się do niepoznania. Ludzie, którzy zaczęli się zajmować nowo - powstałemi zagadnieniami, popełniali najczęściej zasadniczy błąd, nie uwzględniając momentów historycznych, które jednak były i są fundamentem tych wszystkich nowopowstałych zagadnień.

Z tych to względów Kresy stały się wyłącznie zagadnieniem mniejszości narodowych. W tem tkwi błąd zasadniczy i źródło wszystkich nieporozumień, chybionych programów i poglądów politycznych.

Reasumując to co do tej chwili powiedzieliśmy, widzimy, że przyczyną t. zw. chaosu kresowego są zasadniczo trzy rzeczy:

1-o niedocenianie europejskiego znaczenia zagadnień kresowych,

2-o nierozróżnianie momentu teraźniejszego od momentu historycznego przy tworzeniu poglądu na zagadnienia kresowe,

3-o ujmowanie zagadnień kresowych jako problemu wyłączne mniejszości narodowych.

Postarajmy się wobec tego rozważyć zagadnienia kresowe nie popełniając wspomnianych wyżej błędów.

Jeśli spojrzymy wstecz w czasy Jagiellonów i Wazów, to stwierdzimy, że ogromna większość dzisiejszych rodzin kresowych inteligencji polskiej jest pochodzenia litewskiego, białoruskiego czy też ukraińskiego. Jest to fakt powszechnie znany. Dlaczego tak się stało, też powszechnie wiadomo — zrobiła to ekspansywna polska kultura.

Ciekawą rzeczą w tem wszystkiem jest to, że właśnie ta ówczesna inteligencja ruska powstała pod wpływem kultury polskiej; zacząwszy mówić i żyć po polsku i wyrzekłszy się ruskości popełniła tem samem fatalny błąd, gdyż oderwała się od narodu ukraińskiego, straciła z nim kontakt, przez co dała możność później przez długie wieki używania tegoż narodu w walkach socjalnych przeciw sobie i przeciw Rzeczypospolitej.

Z chwilą zniknięcia z mapy Europy państwa Polskiego, carskie rządy szły w kierunku zwalczania polskości dwoma drogami:

1-o walką z „polskością" wogóle,

2-o walką z rolą polskości w dziejach Kresów.

W pierwszym wypadku rządy caratu nie osiągnęły celu, t. j. nie potrafiły wynarodowić społeczeństwa polskiego, jedynie zapomocą rosyjskiej kultury spaczyły jego psychikę.

Natomiastw drugim wyapdku cel został prawie osiągnięty.

Pod wpływem strasznego koszmaru, jakim były rządy carskie, społeczeństwo polskie coraz mniej stawało się ekspansywne czy to w życiu kulturalnem czy organizacyjnem. System caratu zmusił polaków i polskość do przejścia z ekspansji do samoobrony, do coraz ciaśniejszego zamykania się w sobie, czego nieuchronnym skutkiem była coraz to większa przepaść między polskością a ukraińskością na Wschodzie.

Taki stan rzeczy panował gdy przyszła rewolucja 1917 r., która ze względu na swój charakter socjalny, stosunek dwu narodów: polskiego i ukraińskiego zrobiła wręcz wrogim.

Wreszcie ruch niepodległościowy ukraiński, który z nieoczekiwaną siłą zaczął dążyć do stworzenia swego własnego państwa, też wywarł duży wpływ na urobienie psychiki społeczeństwa polskiego.

Te trzy momenty, które poruszyłem, t. j. wpływ rządów carskich, rewolucja socjalna, ruch niepodległościowy narodu ukraińskiego tak wpłynęły na psychikę ówczesną polską na Kresach, że gdy trzeba było w 1919 r. w myśl historycznej roli przystąpić do ekspansji początkowo chociażby w wąskich granicach, to społeczeństwo polskie okazało się do tego niezdolne.

Wypływającym stąd wnioskom jest, że my, młodzież, powinniśmy pozbyć się przedewszystkiem tego psychicznego wykoszlawienia w stosunku do zagadnień kresowych — jeśli chcemy zająć się tworzeniem nowego życia na Kresach w duchu przekazań dziejowych.

Jeśli ktoś spojrzy na mapę centralnowschodniej Europy i zastanowi się nad mocarstwowemi możliwościami Państwa Polskiego — to łatwo dojdzie do wniosku, że przyszłość Polski zależy od tego, jak zorganizowane będą wschodnie jej rubieże. Jasnem jest, że twórczy wysiłek Polski powinien iść na Wschód, nie na Zachód.

Rola Polski na Kresach w minionych wiekach była decydująca, i taką musi być teraz i w przyszłości, jeżeli nie chcemy zejść do roli nieznaczącego nic w Europie małego państewka.

Ukraiński ruch niepodległościowy jest już obecnie faktem, a nie teorją. Myśl ukraińska znajduje się w krzyżowym ogniu dwu orjentacji: Warszawa czy Moskwa. Choć pozornie ta druga ma więcej szans, to jednak porównawszy stosunek wzajemny trzech elementów dojdziemy do wniosku, że element polski i ukraiński są wzajemnie asymilującemi się pomimo zewnętrznych pozorów sprzeczności. Natomiast element ukraiński i rosyjski pomimo pozorów zewnętrznego podobieństwa są zagadnieniami sobie wręcz obcemi. Na dowód tego możnaby przytoczyć wiele faktów. Podam może najbardziej znany, ale i najdokładniej ilustrujący stosunki.

Począwszy od magnatów i obszarników do drobnych rolników polskich całe społeczeństwo polskie na wsi porozumiewało się z miejscową ludnością w języku ukraińskim, który jest mu zupełnie swojski, natomiast znaleźć rodowitego rosjanina, któryby z łatwością i przyjemnością mówił po ukraińsku byłoby rzeczą bardzo trudną, a nawet często niemożliwą.

Wzajemna asymilacja polsko - ukraińska nie jest czczą teorją, lecz jest faktem.

Gdy z jednej strony te dwie krwi mieszały się w walkach bratobójczych to nie trzeba zapominać, że to zespolenie dało Polsce ludzi w duchu Wiśniowieckich, później genjuszów w duchu Słowackiego.

Gdzież, jak nie na kresach przyszli na świat ludzie, którzy zaważyli na dziejach państwa, otwierając mu wprost olbrzymią przyszłość. Jedną z najpiękniejszych chwil młodego życia państwa Polskiego był r. 1920, gdy w/g słów poety: „Naród tylko co z niewoli powstał, szedł innemu bratniemu narodowi pomagać zrzucać kajdany". Czyż może być coś piękniejszego!

Wiemy, że wyprawa kijowska nie udała się, ale była ona jeszcze jednym dowodem tej wielkiej historycznej prawdy kresowej o aktywizmie polskości na Wschodzie.

Państwo Ukraińskie ze stolicą w Kijowie związane z Polską przymierzem duchowem i rzeczowem jest niewątpliwie wielką myślą i w przyszłości będzie rozwiązaniem zagadnień polsko - ukraińskich.

Jak widzimy, mamy na Wschodzie wszelkie dane, by móc organizować tam życie. Ale do tego jest konieczna pomoc społeczeństwa polskiego, którąby się przejawiła w ekspansji, przenikaniu i współżyciu z elementem ukraińskim.

Jeżeli my nie pójdziemy drogą tradycji w stosunku do ludności ukraińskiej, to musimy być przygotowani, że np. na Wołyniu zapanują stosunki z Małopolski Wschodniej.

Jednym z fatalnych skutków braku współżycia jest nasza nieznajomość mniejszości narodowych. Nie wiemy o nich prawie nic. Jakże wielu jest takich, co wogóle wątpią, by w narodzie ukraińskim mogły istnieć jakieś prądy społeczne, literackie czy inne.

Póki dokładnie nie zapoznamy się z życiem kulturalnem mniejszości, nie potrafimy stworzyć jakiegoś życiowego programu kresowego. Z tem musimy się liczyć.

Ale już nawet pobieżne obserwacje nad życiem kresowem wykażą nam, że przemoc i siła do niczego dobrego nie prowadzi, że każdy uścisk spotka się z defenzywą tem silniejszą, im jest słuszniejsza. Bo prawem ludzkiem jest prawo: być tym kim się człowiek urodził i wyznawać tę wiarę, która mu bardziej odpowiada.

Jakież mamy prawo żądać od Ukraińca wyrzeczenia się jego narodowości i wiary. Czyż daleko są te czasy, kiedy od nas tego wymagano? Czyż możemy iść w ślady naszych katów?

Nie! Polityka przemocy jest najbardziej potwornym programem kresowym. My, młodzież, musimy wobec niej zająć stanowisko negatywne. Nasze wyznanie kresowe powinno być wielkie i szlachetne, niepomne do znanych krzywd, tolerancja w stosunkach narodowościowo - religijnych, szczery i prawdziwy demokratyzm, współżycie w stosunkach społecznych i gospodarczych, silna, sprężysta i sprawiedliwa władza w zakresie administracji.

Oto są punkty dzisiejszej racji polskiej na Kresach. Tylko szlachetna, twórcza współpraca wszystkich elementów kresowych może stworzyć nowe życie na Wschodzie, nowy ustrój, który zapewni Polsce wielkość mocarstwową.

Leon Stachórski,

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

STANISŁAW POSNER

W dniu 8 b. m. rozstał się z tym światem vicemarszałek Senatu Stanisław Posner.

Głęboko i wszechstronnie wykształcony, o sercu współczującem z wszelkiemi niedolami ludzkości, pozostawia za sobą żal wszystkich, którzy się z nim kiedykolwiek zetknęli.

Był on obok Limanowskiego, Jodki, Luśni i Perla jednym z teoretyków polskiego socjalizmu. Piastując z ramienia P. P. S. mandat senatora od 1922 r., interesował się głównie zagadnieniami ochrony pracy i ubezpieczeń społecznych, nie biorąc udziału w demagogicznej walce politycznej.

Położył ogromne zasługi na polu międzynarodowem w walce z wyzyskiem kobiet i dzieci oraz w walce z handlem narkotykami, pracując jako delegat Polski w odnośnych komisjach Ligi Narodów.

Postać Jego odcina się jasno na tle życia politycznego ostatnich lat. Należał do tych rzadkich ludzi, którzy opozycyjne stanowisko wobec rządów obecnych umieli łączyć z pozytywną i owocną pracą dla Państwa i społeczeństwa.

HOŁD JEGO SZLACHETNEJ PAMIĘCI!

POLSKA NA MORZE!

Ostatnia morska konferencja rozbrojeniowa w Londynie wykazała jak kruchemi są nadzieje rozbrojenia wogóle, a rozbrojenia na morzu w szczególności. Jeśli bowiem na lądzie armję stałą można z pewną dozą ryzyka zastąpić milicją należycie wyćwiczoną i posiadającą wyszkolone odpowiednio kadry, o tyle żaden cudotwórca nie potrafi na poczekaniu stworzyć floty. Na to trzeba nietylko ludzi, nietylko okrętów, nietylko pieniędzy, ale przedewszystkiem czasu, czasu i jeszcze raz czasu.

To też te nieliczne z uchwalonych w Londynie ograniczeń miały za cel przedewszystkiem — powiedzmy szczerze — osiągnięcie pewnych oszczędności finansowych. Nie chodziło tyle o ideje humanitarne, ile o to, że np. Anglja poprostu nie była w stanie ponosić olbrzymich kosztów budowy nowych i modernizacji starych okrętów wojennych.

Stąd zatrzymanie budowy okrętów linjowych na lat sześć dla trzech głównych traktatarjuszy: Anglji, Stanów Zjedn. i Japonji. Wiadomo bowiem, że Francja i Włochy umowy tej nie podpisały, gwarantując sobie wolną rękę. Zresztą na „rozbrojeniowej" konferencji przyznano Stanom Zjednoczonym prawo budowy 18 nowych wielkich krążowników i tyluż mniejszych.

Jeśli będziemy się dalej tak „rozbrajać", możemy być o istnienie flot wojennych spokojni. Cała sztuka polegać będzie na zamianie ciężkich i kosztownych okrętów linjowych na mniejsze, tańsze i zwrotniejsze. Nowoczesne narzędzia walki są zaś tak udoskonalone, że właściwości bojowe będą niemal te same.

Niemcy pokazali to już uprzednio, przystępując do budowy słynnego pancernika „A" (Admiral Scheer). Okręt ten mieszczący się w ramach naznaczonych traktatem wersalskim, zabraniającym Niemcom posiadania okrętów powyżej 10.000 tonn, — jest swego rodzaju rewelacją w dziedzinie budownictwa okrętowego. Dzięki elektrycznemu spawaniu, lekkim motorom spalinowym (dotychczas uważano, że nie nadają się one dla wielkich i szybkich okrętów wojennych), włącznie pancerza do kadłuba, umiejętnemu rozmieszczeniu artylerji i komór amunicyjnych, wreszcie płynnemu paliwu, — udało się zbudować okręt szybki (26,5 mili morskiej na godzinę) zwrotny, dobrze opancerzony silny (6 dział 280 m/m w dwóch potrójnych basztach 8 dział 150 m/m), a nadto o zasięgu 10.000 mil, czyli mogący bez nabierania świeżego paliwa udać się z Hamburga do Hong - Kongu.

Niemcy nie brali tedy udziału w konferencji, natomiast od czasu wojny pracują intensywnie nad odbudowaniem swej floty. Prócz słynnego „Scheera" projektują obecnie drugi takiż pancernik. Nadto zbudowali już 5 krążowników po 6000 tonn i 12 kontrtorpedowców po 800 tonn.

Zmodernizowali też szereg starszych okrętów. I podczas, gdy uśpieni lokarneńskiemi obietnicami wielcy pacyfiści marzą o powszechnem rozbrojeniu, w samym sercu Europy „ostrzą się szpady i schnie proch". Przecież minister Reichswehry Gröner dał wyraźnie do zrozumienia, że nowe okręty wojenne budowane są przeciwko Polsce. A ani kanclerz, ani minister spraw zagranicznych Rzeszy, nie mieli bodaj tyle wstydu, by temu zaprzeczyć.

W poczuciu grożącego niebezpieczeństwa, związana z nami traktatem Francja, nie mogła spokojnie patrzeć na to zbyt szybkie odrastanie z popiołów zniszczonej w Scapa Flow niemieckiej armady. To też na konferencji londyńskiej oświadczyła, że zmniejszy swoje zbrojenie morskie tylko wówczas, gdy Wielka Brytanja, tak jak przed wojną, da jej szereg gwarancji militarnych, tyczących się wód i wybrzeży północnej Francji. Niestety — rządy Anglji i Ameryki gwarancji takich udzielić nie chciały. A Francja mająca potrójny front morski, nie mogła wyrzec się swobody ruchów i dostatecznej gwarancji obrony swych interesów na morzu.

Co do nas — to niestety, na pomoc naszej sojuszniczki zbytnio liczyć nie możemy. Po pierwsze jej własne siły nie są zbyt wielkie w stosunku do 34.000 km brzegów i 63.000 km dróg komunikacyjnych. Po drugie wejście na Bałtyk poprzez cieśniny duńskie, leży niemal pod gardzielami armat Kielu, będącego podstawą floty niemieckiej. Po trzecie — należy zawsze liczyć na samego siebie. To też stworzenie polskiej „armaty morskiej", będące już koniecznością przed 400 laty — staje się dziś kwestją sine - qua - non naszej egzystencji.

Konieczności tej nasi przodkowie zrozumieć nie mogli. Zemściło się to krwawo na losach Ojczyzny. Czyż mamy znów powtarzać dawne błędy? Czyśmy się niczego przez te cztery wieki nie nauczyli?

— Zapewne, powie ten i ów. Polska niema żadnych szans stać się mocarstwem morskiem. Nie mamy brzegów, nie mamy pieniędzy. Choćbyśmy i co zbudowali, pozostaniemy zawsze w tyle za naszymi wrogami. Pocóż więc trwonić wysiłki i fundusze, skoro w razie wojny będą one bezpowrotnie stracone?

Otóż tak nie jest. Przenigdy! Błąd to wielki tak rozumować. Resztki niewolniczej mentalności wciąż jeszcze w nas pokutują. Myślimy tylko zawsze o bezpłodności wysiłków, o przegranej. Bez skargi nie znamy śpiewu. Nie umiemy myśleć kategorjami ludzi wolnych.

Na szczęście tak myślą zwykle tylko ludzie starsi, w rutynie i apatji zasklepieni, godni bezwzględnie szacunku, ale zbyt długo w okowach niewoli chowani, by duch ich mógł śmiało i odrazu sięgnąć wyżyny „Polski Mocarstwowej". Ale młodzież, nasza dzielna młodzież, co ocaliła Lwów i Warszawę od najazdu wrogiego, potrafi chyba i tym razem myśleć kategorjami zwycięców.

Nieprawda, że nie mamy pieniędzy na flotę wojenną. Nieprawda, że nie potrafimy jej zbudować, nieprawda, że pobiją nas w pierwszej potyczce, nieprawda, że wrogowi nigdy sprostać nie będziemy w stanie.

Po pierwsze nasz budżet morski niższy jest od budżetu wielu państw znacznie od Polski mniejszych i uboższych. Po drugie pieniądze na flotę znaleźć się w ramach budżetu ogólnego, muszą boć jest to pierwszym obowiązkiem rządu bronić dwukrotnie już utraconej, a z takim trudem odzyskanej Wolności Morskiej. Społeczeństwo samo powinno pomóc rządowi drogą drobnych chociaż składek na flotę wojenną, przecież przez czterdziestu laty w Niemczech też nie wierzono w morze. A jednak wybitnym mężom stanu udało się w ciągu kilku lat zmienić mentalność całego narodu i zrobić z Niemiec potęgę morską.

Na obronę polskiej „wolności morskiej" pieniądze znaleźć się muszą, bo idzie ona przed wszystkiemi niemal wydatkami. Co nam przyjdzie ze szkół, muzeów, fabryk, domów, kościołów, skoro jutro może odwieczny wróg pozamienia je znów na koszary dla swoich żołdaków. Czyż dawno jak zniknęły cierkiewne banie z kopuły gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk?

Zresztą stocznie zagraniczne udzielą nam daleko idących kredytów. Z personelem zaś kłopot będzie najmniejszy. Posiadamy dość oficerów — wybitnych fachowców a szkoła podchorążych marynarki wojennej corocznie wypuszcza nowe zastępy młodych, dzielnych i duchowo zdrowych entuzjastów morza.

Pozostaje kwestja ostatnia: Przewaga wroga. Ale ktoż to powiedział, że musimy być „second to none" lub „two powers standart" — jak Wielka Brytanja. I ona zrezygnowała dziś ze stanowiska władczyni świata przyjąwszy parytet z Ameryką.

A historja wojen morskich zna dziesiątki bitew, gdzie zwyciężał słabszy. Zresztą w nowoczesnej wojnie morskiej, wielkie bitwy zabierają stosunkowo mało miejsca.

W każdym zaś razie polska marynarka wojenna będzie silnym hamulcem w stosunku do wrogich zakusów, będzie oddziaływać trzeźwiąco na zwolenników „krwawego odwetu" (komu tu mówi o odwecie), zmusi do namysłu tych, których dotąd bezbronne polskie wybrzeże zbytnio kusi.

To też w zrozumieniu tej sprawy, polska młodzież akademicka winna stać się jej gorliwą propagatorką. Powinna zerwać z ciasnemi pojęciami i tradycjami lądowemi, a bogata w ducha wyrwać się na Morze. zrozumieć je, ukochać. Świat szeroki leży nam otworem. I tu źródło mocarstwowego znaczenia Polski.

W jednym z następnych artykułów rozpatrzymy jak polska „armja morska" wyglądać powinna.

Kapitan Nemo.

LEGJE AKADEMICKIE P. W.

W dniu Święta Narodowego 3 maja r. b. mieliśmy sposobność podczas defilady wojskowej oglądać i podziwiać maszerujące sprawnie oddziały przysposobienia wojskowego, a wśród nich batalion Legji Akademickiej Warszawskiej złożony z trzech kompanji. Słychać było oklaski tłumu, który w ten sposób objawił zarówno podziw jak i sympatję swoją dla szeregów akademickich. Wspominając fakt powyższy, nie chodzi mi wcale o blichtr zewnętrzny i zdobywanie taniego poklasku — mam na myśli rzecz głębszą, zasadniczą, a mianowicie: jaką jest i być powinna rola słuchaczy wyższych uczelni w zakresie przysposobienia wojskowego.

Nie będę tu rozwijał kłębka historji i genezy tej niesłychanie ważnej dziedziny życia państwowego, jaką jest przysposobienie wojska, nie będę motywował idei narodu pod bronią, zrealizowanej już prawie całkowicie w ubiegłej wojnie, nie będę również uzasadniał konieczności redukcji służby wojskowej i przerzucenia możliwie największej części wyszkolenia wojskowego poza ramy koszar i obowiązującej służby wojskowej. Są to fakty znane i uznane oraz nawet prawie w większości wypadków dokonywane.

O ile wychowanie fizyczne i przysposobienie wojskowe na terenie szkoły średniej zostało rozstrzygnięte i przeprowadzone konsekwentnie drogą obowiązujących ćwiczeń cielesnych oraz przynależności do hufca szkolnego przysposobienia wojskowego i związanych z tym zajęć wplecionych w program szkolny i pobytem w ciągu wakacji w 5-tygodniowym obozie letnim p. w. — o tyle na wyższych uczelniach wychowania fizycznego nie rozwiązują istniejące A. Z. S.-y (Akademickie Związki Sportowe), a przysposobienie wojskowe w postaci odniedawna zorganizowanych Legjach Akademickich jest tem „malum necessarium" i jednym ze środków „wymigania się" od służby wojskowej, która paraliżuje studja lub nawet je czasem uniemożliwia.

Ideałem z punktu widzenia wojskowego byłoby, gdyby maturzysta, osiągając świadectwo dojrzałości i 18-ty rok życia, szedł do Szkoły Podchorążych Rezerwy, a potem dopiero wstępował do wyższej uczelni. Stan obecny, gdy bezpośrednio z ławy szkolnej przechodzi on na ławę akademicką, powoduje niesłychane czasem komplikacje zarówno dla akademika jak i dla władz wojskowych. Pierwszemu przerywa się lub ustawicznie grozi przerwanie studjów a władze wojskowe, idąc na ustępstwa w odraczaniu służby, spotykają się z faktem, iż znaczna część absolwentów nie przechodzi przez szeregi armji lub wchodząc w nie, jest elementem do tej służby nie nadającym się nietylko dla stwardniałych stawów oraz zanikających mięśni i sprawności fizycznej, jak przedewszystkiem ze względu na nastawienie psychiczne. Absolwent Wyższej uczelni po długich studjach i bryndzy akademickiej, uzyskawszy prawa i tytuł, chce jaknajprędzej oddać się pracy zawodowej. W tym momencie wkracza przepis o służbie wojskowej. Akademik wtedy już doktór lub inżynier klnie na wojsko, a wojsko ze swej strony narzeka na „inteligentów".

O ile powyżej przytoczone idealne rozstrzygnięcie nie może być zastosowane, można znaleść drugie wyjście: w szkole średniej uczeń zdobywa sprawność fizyczną i II stopień przysposobienia wojskowego t. j. wyszkolenie rekruckie. O ile przechodzi do wyższej uczelni bezpośrednio, należeć powinien do Legji Akademickiej i odpowiednio zreformowanego A. Z. S. przymusowo — poświęcając w ciągu 4 — 5 lat studjów odpowiednią ilość godzin np. 100 w ciągu roku akademickiego na ćwiczenia oraz co 2-gie wakacje 4 tygodnie na obóz letni (licząc się z tem, że akademik musi odbywać swe praktyki podczas przerw w studjach).

W ten sposób podtrzymałoby się sprawność fizyczną i przeszło kurs szkoły podchorążych piechoty.

Po odbyciu studjów — absolwent przechodziłby już tylko na 3 miesiące do szeregów armji dla zakończenia wyszkolenia lub specjalizacji w tych broniach lub działach techniki czy wiedzy specjalnej wojskowej, do której przez swe studja akademickie jest najlepiej przygotowany.

Uniknęłoby się w ten sposób nieracjonalnej gospodarki oficerów rezerwy jak np. inżynier-chemik idzie do szkoły podchoraż. piechoty lub kawalerji, gdzie szkolą go na dcę plutonu po to aby w czasie wojny tego plutonu nie oglądał, a był użyty do produkcji gazów bojowych w fabryce i t. p.

Obecny stan rzeczy z ustawicznem odraczaniem służby wojskowej, ćwiczeniami w szeregach Legji Akademickiej z programem I stopnia p. w., organizowanej jako ekwiwalent dla tych, co pragną uzyskać odroczenie, co pozatem prawie żadnych ulg w służbie wojskowej akademikowi nie daje — może być traktowany przejściowo i jako próba pracy p. w. na wyższych uczelniach.

Są tylko dwa rozstrzygnięcia:

1) wymagać odbywania służby wojskowej i ukończenia Szkoły P-chor. Rez. po skończeniu szkoły średniej przed wstąpieniem na Wyższą uczelnię;

albo:

2) równolegle ze studjami na wyższej uczelni przerobić łącznie z 2 — 3 obozami letnimi kurs Szkoły P-chor. Rez. a po skończeniu wyższej uczelni uzupełnić lub specjalizować to wyszkolenie w szeregach armji przez 3 — 4 miesiące.

Przypominam tu fakt, iż przedwojenni oficerowie Związku Strzeleckiego prawie wyłącznie akademicy Małopolskich czy Zagranicznych uczelni wyższych, dali doskonałych oficerów Legjonów i Wojska Polskiego a warszawska szkoła oficerska i szkoła oficerska i szkoła podchorążych Pol. Org. Wojsk. złożona z kilkuset akademików Uniw., Polit. i Szk. Gł. Gosp. Wiejsk. dały w 1918 po 3 miesięcznym przeszkoleniu w Szkole Pchor. Piechoty świetnych i dzielnych dców plutonów i kompanji, z których większość o ile nie poległa, to pozostaje do dnia dzisiejszego oficerami zawodowymi, ciesząc się jaknajlepszą opinją i kwalifikacją.

Nie przytaczam tu przykładów zagranicy: Francji, Anglji i t. d., gdyż nasze własne doświadczenia i osiągnięte w latach przed i wojennych rezultaty dają nam dostateczną ilość wzorów do naśladowania. Należy je tylko wprowadzić w czyn i upowszechnić.

Ignacy Wądołkowski.

KUŹNICA LITERACKA

Sprawa Mauriziusa

„Sprawa Mauriziusa" powieść w 2-ch tomach Jakuba Wassermana, przekład z niemieckiego.

Literatura powojenna zainteresowała się żywo problemami winy i kary, jak również całokształtem działalności sądownictwa. Pisarzy zaniepokoiły częste wypadki t. zw. „omyłek sądowych", zaczęto podnosić i krytykować niedokładne funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości, ostro potępiono spotykaną w niektórych krajach bezmyślną rutynę sądownictwa i prokuratury. Kwestje te znalazły szczególnie głośny oddźwięk w literaturze niemieckiej, wyrazem tego jest m. i. powyższa książka.

„Sprawa Mauriziusa" jest wspaniale opracowanym dramatem przedewszystkiem psychologicznym, starannie wykończonym w szczegółach i napisanym z dużą znajomością techniki procesu karnego. Akcja rozpoczyna się w jednem z prowincjonalnych miast niemieckich; głównemi osobami powieści są prokurator Sądu Okręgowego, Andergast oraz syn jego, Etzel. Andergast przed kilkunastu laty popierał oskarżenie w głośnej sprawie docenta Maurizinsa, oskarżonego o zamordowanie swej żony, oraz uzyskał wyrok, skazujący na dożywotnie więzienie. Nad miastem unosił się jak dręczący upiór, wspomnienie tego procesu; dźwięk nazwiska „Maurizius" przejmuje wszystkich jakgdyby dreszczem. Autor niezwykle umiejętnie cofa czytelnika myślą o 19 lat wstecz i wprowadza **in medias res** tej sprawy. Etzel czuje całą świeżością i zapałem swego 16-letniego istnienia, iż Maurizius cierpi niewinnie i że zaszła tutaj omyłka sprawiedliwości; nie mogąc tego ścierpieć, ucieka z domu ojca, aby znaleźć dowody, mogące pomóc do naprawienia tej omyłki. Po dłuższych poszukiwaniach i różnych podstępach udaje mu się stwierdzić niezbicie, iż główni świadkowie oskarżenia, których zeznania były podstawą wyroku, popełnili krzywoprzysięstwo.

W międzyczasie Andergast pod wpływem wstrząsu, jakim była ucieczka syna, zaczyna studjować ponownie pokryte archiwalnym kurzem akta sprawy, odwiedza kilkakrotnie przebywającego w więzieniu Mauriziusa i wreszcie drogą długiej pracy myślowej dochodzi również do wniosku o jego niewinności. Zamiast jednak wszcząć rewizję procesu, rzuca skazańcowi, jak ochłap, ułaskawienie. „Nie mobilizuje się armji aby podnieść jedno drzewko; drzewko, niezdolne zresztą do życia" — tłomaczy Andergast synowi, nie zdając sobie sprawy, że ta niegodna stróża prawa małość charakteru i brak odwagi cywilnej są znacznie gorsze od poprzednio popełnionego błędu.

O wartości artystycznej i społecznej książki stanowią przedewszystkiem dwa wielkie cykle rozmów, pomieszczone w 2-im tomie: 1) Etzela z Warschauerem i 2) Andergasta z Mauriziusem. Niektóre stronice wrzynają się w pamięć na długie lata. Chwilami djalogi te zmieniają się w monologi lub w mówione pamiętniki. Niezmiernie ciekawe i jednocześni eprzejmujące grozą jest opowiadanie Mauriziusa o jego przeżyciach w więzieniu.

Uważamy za konieczne, aby każdy początkujący sądownik, każdy student prawa — zapoznał się tą książką i głęboko ją przemyślał.

j. first.

ZAPADANIE NOCY W SIERPNIU

Wieczór w polu się do pala ciemnym bronzem,
Dym nad łąką się unosi wzwyż wysoko.
Żadna, żadna z najpiękniejszych książek
Nie opisze, jak potrafi pachnąć potok.

Nad najcichszą, w drzewach śpiącą wioską
Wisi obłok. Drzewa w obłok rosną.
Tam, gdzie potok za wsią lśni beztrosko,
Traw zielone oczy całuje niebosklon.

Patrz, to wieś. Jaśnieje ciepły zapach chleba.
Mądrość życia rośnie trawą pod opłotkiem.
Tu spokoju cichej pracy tu potrzeba
I chrupania rozłamanych jabłek słodkich.

Wieczór bronzem ciemnym w polu się dopala.
Wieś w milczeniu, w śnie błękitnym tonie.
Sierpień dni wrześniowe widzi w srebrnych dalach,
Noc zapada w śpiewie gwiazd, w księżyca dzwonie.

Jan Szczawiej.

CEGŁA

Ogorzała wstydem, gładka, prostokątna
Jako wszystkie cegły, chociaż każda inna,
Dziś zadziwia kształtem, a wczoraj samotna,
Wewnątrz ziemi skryta, opuszczona glina.

Uniesiona z wnętrza ziemi ręką mocną,
Ręka kształt nadała. Ogień kształt hartował,
Z wielu takich cegieł zajrzy radość oczom
I odkrzyknie: — wyżej, przestrzenna budowa.

Jestem taką cegłą. Ukrytego w ziemi
Wola przeznaczenia wychynęła w przestrzeń.
Dzień za dniem — ogniami śpiesznie płonącemi
Kształcił prostokątnie w krwawej łunie cierpień.

Najzwyklejsza cegła. Lecz sam nic nie znaczę.
Ale z tłumem innych, ustawianych krótko;
Ponad naszym światem sto światów zobaczę.
Gmachem z takich cegieł — stoi przecież Ludzkość.

Wawrzyniec Czereśniewski.

PORANKIEM

Zwinne zimno wokół mnie przepływa,
Wstaje słońce z nad mgieł, nieruchliwie.
Oszronione drzew gałązki witam
Na niebiosach, na przejrzystej szybie.

Na tej gładkiej szybie, szlifowanej,
Są — jakgdyby mróz swe kwiaty wyciął.
Przycupnęły pod bielą mgły rannej
Tłumne trawy i patrzą i milczą.

Wydaje mi się: z pod skrzydeł mglistych
Pojedyńczo schodzą ku mnie oknem.
Zieleń płonie złotem, szronem błyszczy, —
Aby tylko ukryć się przed Losem.

Wawrzyniec Czereśniewski.

WIESŁAW WERNIC

B. S. C.

Brothers Smith's Company. Samochód szarpnął się i utknął raptownie. — Dziura psiakrr.... — Dziura w równej szosie. Inżynier Kolnicki otworzył ze zgrzytem drzwiczki auta i wsiąkł w ciemność. Szofer majstrował, oświetlony migotliwem okiem latarki. Kwadrat światła legł przed motorem. Brothers Smith's Company. Przedstawiciel wielkiej firmy tkwił we wnętrzu wozu, jaskrawo pokratkowany kolorami płaszcza, ściśnięty w sobie, sprasowany niczem figa. Inżynier nerwowo udeptywał piasek.

Jeszcze godzinę temu, na zielonej polanie, obok kopic siana, między dróżką i zagajnikiem, wypluwał gardłowe dźwięki anglosaskiej mowy. Okutą laską kreślił na kurzu ścieżki plany przyszłych budynków. Godzinę temu przy ostatnich, gasnących promieniach słońca sypał z ręki do ręki wilgotny piach.

— Wiesz co to jest? — Jego kolega Ernt wzruszał ramionami, — piasek. — A co będzie za rok, za dwa... — Piasek... — Na to Kolnicki, zdmuchując resztki kurzu z dłoni: — złoto, złoto. Każde ziarnko, każde ziarnko, każdy pyłek. Złoto, pieniądz...

Już w myślach wykreślał białe bloki fabrycznych budynków. Kominy przetną niebo. Gładka szosa pobiegnie prędko aż do ulic Lasku. Wielka pożyczka inwestycyjna. Rozwalić rudery. Nowe domy, nowe gmachy. Szerokie ulice pójdą bielą ścian. Dosyć już dziur w chodnikach. — Człowieku... — krzyczał w cieniu nadchodzącego wieczoru, — czy ty sobie wyobrażasz, czy ty sobie wyobrażasz? —

Noc ich zastała, kiedy dudnili wielkim motorem po żwirze szosy. Czarniejsze od zmroku, goniły słupy telegraficzne. Ciepły wiatr dmuchał bokami. Przed Łaskiem rozkopano część szosy. I oto teraz tkwili w piachu, w wielkiem milczeniu przerywanem niespokojnem warczeniem motoru. Wreszcie i to ustało. Jednocześnie zgasły ostre światła reflektorów. Ciemność nakryła samochód.

Z bliskiego lasu szła cisza, trzaskająca uschłemi gałęźmi drzew. Z wnętrza wozu zagadał coś anglosas. Wygramolił się, skrzypiąc butami po szosie, za nim Ernst. Szofer wciąż majstrował, trząsł latarkę, chwytał, nawiązywał stalowe ścięgna motoru, klepał naoliwione rurki, dmuchał w błyszczące sześciokąty śrub. We czworo podparli samochód. Wóz ruszył powoli, zazgrzytał na twardym gruncie. Kolnicki odsapnął głośno. — Przecież nie będziemy tak pchać w nieskończoność... — A może ruszy? — Znowu przeczekali kilka chwil w milczeniu. Pogrążonem w mroku polem niosło się dalekie naszczekiwanie psa.

— Jednak chodźmy. — Ernst zaczął coś przekładać amerykaninowi. Ruszyli środkiem szosy. Trzy czarne postacie tkwiące w kurzu drogi. Z początku szurgali ostrożnie nogami, wreszcie wzięli w środek amerykanina, pod pachy... niby łańcuch zabezpieczający nieprzewidziany wypadek. Uszli może trzysta kroków, kiedy w tyle głośnem echem zawyła samochodowa syrena. Jasne oko reflektoru biegło prędko ich śladem. Zmrużyli źrenice. Białe światło lało się długą strugą. Skrzypnęły hamulce tuż obok. Szczękły drzwiczki.

Cicha strzała błyskawicy rozcięła niebo. Fioletowe światło pobiegło kołem widnokręgu. Głuchy grzmot jął się przetaczać z krańców na krańce, powoli, groźnie, przygniatająco. Górował ponad dudnieniem motoru, zamarł gdzieś z głośnym trzaskiem. Na prostokąt płóciennej budy, rozpiętej na autem, spadły ciężkie krople wody. Ale właśnie wtedy wchodzili do mieszkania Ernsta.

Samochód trzykrotnie jeszcze ozwał się nerwowym głosem z poza rżniętego w długie deski kwadratu wjazdowej bramy i zamilkł. Drżąca firanka wody zawisła przed oknami. Białe smugi świateł rozdzierały mokry mrok. W korytarzu z szeleszczących płaszczów cicho kapała wilgoć.

Dopiero w pokoju, przed jasnym płatem obrusa, zrobiło się jakoś inaczej. Przy dzwoniących o białe koła talerzy szarych ostrzach noży, przy wielkich plastrach szynki ścielącej się czerwonym dywanem na półmiskach, przy suchych grudkach chleba rozsypanych tu i tam — rozmowa ożywiona. Niby na inne tematy. O deszczu, słońcu i pogodzie. O dalekich morzach i szerokich lądach, kolorowych rasach, prohibicji i drapaczach nieba. Jednocześnie zręczne badanie przeciwnika. Między masłem i chlebem, między szklanką i talerzem, wtrącane ciekawe pytania. O sumach, procentach, kapitale. Udane zadowolenie z kapiącej od frazesów odpowiedzi. Wreszcie anglosas poczuł zmęczenie. Głowa mu się z ramienia na ramię przelewała. Usłużny zgrzyt odsuwanych krzeseł.

Zaprowadzili go do pokoju, omaścili na wszystkie strony życzeniami dobrej nocy i... zamknęły się biało lakierowane drzwi.

— Dolary poszły spać. — Ernst przekreślił powietrze zygzakiem. Z akompanjamentem sprzątanych szklanek przeszli do gabinetu. Krótki rzut oka na zegarek. Cicho trzasnął mały zamek chrzęszczącej świeżą skórą, żółtej teczki. Szeroki strumień papierosów bezszelestnie wypłynął na blat stołu. Znieruchomieli chwilę, potem, jak gdyby w nagłej ale nieprzyjemnej decyzji, poczęli grzebać oburącz w jasnym potoku pomysłów, planów, kosztorysów. Wszystko to przelewało się przez palce, wiotkie, miękkie, niezdecydowane. Dopiero razem ze szmerem ciemnego ołówka poczęły krzepnąć projekty, nabierać kształtów coraz bardziej prostych i zrozumiałych. Powoli wyrastał jakiś ogrom pracy wielkiej i wspaniałej.

W tak metalicznych uderzeń zegara rozprzestrzeniała się cisza pełnej nocy.

— Dwanaście. — Przez mokre od niedawnego deszczu szyby wbiegał mrok bliskiego ogrodu. Kolnicki otworzył okno. Mała, czarna sylwetka zasłoniła księżyc. — Nietoperz.

Poczęli znowu grzebać w arkuszach. Minuta minutę goniła, sekundy takt czasu odmierzały. Aż nakoniec z szeleszczących skib papieru wyłoniły się gmachy, domy, pałace. Długie kolumny cyfr zlały się w migotliwe światła lamp elektrowni, w asfaltowe jezdnie, parowe młoty, rozpędowe koła, w przeciągłe gwizdy fabrycznych kotłów, w wielkie drabiny ścian najeżone szczeblami okien, w pracę rozmachem grzmiącą i wielki spokój, pośród szumiących lasów, w ciszy wieczoru, po trudzie dnia powszedniego.

Spojrzeli na siebie, podnosząc ociężałe głowy z nad stołu. Za błyszczącemi szybami okien pierzchała noc, goniona szaremi barwami świtu. Oto w dalekich, niewidocznych jeszcze promieniach słońca, ciężka zmora wypełzła na pokój, przytłumiła wielki obraz przyszłości. Z martwych szeregów liczb patrzyła zimnem okiem rzeczywistość.

Rosły długie węże procentów, pęczniały wielkie zera, a wreszcie z poza zapisanych

(C. d. na str. 6-ej)

SZKOLNICTWO NA ŚLĄSKU

Walka mniejszości narodowej z większością, panującą na pewnem terytorjum zazwyczaj rozgrywa się przedewszystkiem na terenie szkolnictwa, większość bowiem usiłuje wychowanie całej młodzieży utrzymać w swem ręku. Wypadek, by szkoła mniejszościowa stała się narzędziem ekspanzji narodowościowej mniejszości, jej ofensywy na stan posiadania narodowego większości, wydaje się wprost nieprawdopodobnym. A jednak byliśmy właśnie w ostatnich latach świadkami takich osobliwych usiłowań na Górnym Śląsku, gdzie splot rozmaitych czynników, w pierwszym rzędzie uprzywilejowanie przez międzynarodowe traktaty mniejszości i zależność gospodarcza mas od żywiołu niemieckiego, umożliwiły tego rodzaju akcję, dziś już na szczęście, przebrzmiałą, choć niezupełnie zlikwidowaną.

Przejmując przyznaną jej część G. Śląska, Polska zawarła z Niemcami układ, regulujący na lat 15 współżycie rozdzielonych ziem. W traktacie tym, zwanym popularnie Konwencją Genewską, zagwarantowano też na zasadach słusznej wzajemności ochronę praw do swobodnego kulturalnego rozwoju mniejszości, pozostałych w granicach obu państw. W ten sposób Niemcy, które dotychczas nie miały tego rodzaju zobowiązań wobec mniejszości, przyjęły na równi z Polską, która, jak wiadomo, podpisała w Paryżu 28.VI.1919 r. t. zw. traktat mniejszościowy.

Ogólne zasady tego traktatu Konwencja Genewska znacznie jednak rozwinęła i kontrolę nad wprowadzeniem wżycie swych przepisów powierzyła dwom czynnikom, zależnym od Ligi Narodów: G. Śląskiej Komisji Mieszanej i G. Śląskiemu Trybunałowi Rozjemczemu.

W szczególności w dziedzinie szkolnictwa bardzo szeroko rozprowadzono postanowienia traktatu, zapewniając mniejszościom nie tylko możność zakładania szkół prywatnych wszelkiego typu i rodzaju, lecz także nakładając na państwa obowiązek utrzymywania publicznych szkół powszechnych, kursów nauki religji i języka mniejszości, zakładów średnich wzgl. klas mniejszościowych przy istniejących normalnych zakładach ogólnokształcących. W szkołach tych nauczanie ma być oddane w ręce nauczycieli pochodzenia mniejszościowego, a społeczeństwu zapewniony współudział w administracji szkół.

Zasadniczym warunkiem przyjęcia do tych szkół jest przynależność dziecka do mniejszości językowej.

Na podstawie przepisów Konwencji Genewskiej zorganizowano zarówno na polskiej, jak i na niemieckiej części obszaru plebiscytowego szkolnictwo mniejszościowe, podczas jednak, gdy władze polskie zajęły się tworzeniem własnej administracji szkolnej, ściąganiem polskich sił nauczycielskich i trudnemi pracami organizacyjnemi, Niemcy odrazu przystąpili do ofensywy na szkoły polskie tak, że liczba dzieci, do nich uczęszczających, z początkowych 6000 w r. 1922 spadła w r. 1927 do 478.

Element polski po stronie niemieckiej znalazł się w sytuacji wogóle bardzo ciężkiej z powodu braku inteligencji, a szkoły podupadły bo nie tylko nie było nauczycieli z kwalifikacjami do nauczania w języku polskim, ale chłopiec z świadectwem ze szkoły polskiej nie otrzymywał zajęcia, a w dodatku swego ojca narażał na utratę zarobku, jaki dotychczas posiadał.

Po stronie polskiej w r. 1924 Niemcy przeszli też do gwałtownej akcji, wyzyskując gospodarczą zależność mas i doktrynerskie postanowienia Konwencji Genewskiej.

Dla ustalenia bowiem przynależności narodowej, językowej, czy religijnej wystarczy wedle jej przepisów oświadczenie danej osoby. Władzom nie wolno w żadnym wypadku badać, ani kwestjonować swobodnych deklaracyj. Wychodząc w ten sposób ze słusznej dążności do ochrony obywateli przed nadużyciami i nieuczciwym wpływem władz, Konwencja przekroczyła jednak dozwoloną granicę, niepozostawiwszy władzom żadnej możności reagowania na oświadczenia, niezgodne z rzeczywistością.

Nic też dziwnego, że przewódca mniejszości niemieckiej i kierownik Związku niemieckiej mniejszości na G. Śląsku „Volksbund“, Otto Ulitz, znany z niedawnego procesu o ułatwianie dezercji, otwarcie przyznaje, że w swem biurze niejednokrotnie musi się posługiwać językiem polskim, gdyż klijenci jego, „należący do mniejszości niemieckiej“, języka mniejszości nie znają.

Wogóle w stosunku do zwykłego obywatela polskiego innej narodowości, obywatel narodowości niemieckiej na Górnym Śląsku jest uprzywilejowany. Spotka go rzeczywista, czy urojona krzywda, służy mu wtedy tylko dochodzenie swych praw przed instancjami krajowemi, lecz i prawo wniesienia petycji do Prezydenta Komisji Mieszanej, do Trybunału Rozjemczego, a nawet do Rady Ligi Narodów z zupełnem pominięciem zwyczajnego postępowania przed władzami państwowemi.

Z bezkarności fałszowania oświadczeń o przynależności do mniejszości i swobodnego dostępu w każdej najbłahszej nawet sprawie do czynników międzynarodowych, skorzystali Niemcy, rozpoczynając swą, na szeroką skalę zakrojoną, akcję za szkołą mniejszościową.

Ułatwiła ją nieszczególna sytuacja gospodarcza, bezrobocie i ogólna zależność mas robotniczych od pracodawców niemieckich. Zdać sobie bowiem trzeba sprawę, że na polskiej części G. Śląska pozostały wszystkie niemal jednostki, zajmujące wyższe stanowiska w handlu i przemyśle. Według statystyki jeszcze w r. 1927 85% dyrektorów, inżynierów i techników w prywatnym przemyśle górnośląskim zajmowali obcy, przeważnie Niemcy.

Około 25.000 robotników pracuje wreszcie na niemieckiej części G. Śląska, gdzie od przyjętych do pracy domagano się poświadczeń „Volksbundu“, że dzieci swe posyłają do szkół mniejszości.

Nieuczciwa agitacja agentów „Volksbundu“ podnosząca wyższość szkoły, w której dziecko nauczy się nie tylko języka polskiego, którego znajomość wynosi z domu, ale przedewszystkiem języka niemieckiego, udzielanie zapomóg, pożyczek, filantropja i zaopatrywanie dzieci w ubrania dożywianie ich, krótko: dalsza demoralizacja i przekupstwo ludu, dostatecznie zepsutego czasami plebiscytu, dopełniły miary tak, że na rok 1926/27 zgłoszono do szkół mniejsz. 8.829 dzieci, z pośród których władze przyjęły zaledwie 1.715, resztę zaś przekazały do szkół polskich.

Zarządzenie to stało się przedmiotem petycji do Prezydenta Komisji Mieszanej, kiedy zaś Wojewoda Śląski odrzucił jego pogląd, zalecający przyjęcie dzieci z powrotem do szkół niem., sprawa oparła się o Radę Ligi Narodów, która w znacznej mierze uznała polski punkt widzenia za słuszny.

Zarówno bowiem „Volksbund“, jak Prezydent Komisji Mieszanej, p. Calonder, b. prezes Szwajcarskiej Rady Związkowej, jak i rząd niemiecki stali na stanowisku, że każde dziecko, zgłoszone do szkoły mniejsz., winno być do niej przyjęte bez względu na to, jakim językiem włada, Konwencję Genewską interpretowali zaś w ten sposób, że mówi ona o języku, w jakim wychowawca chce dziecko kształcić, a nie o stwierdzeniu, jakiego dziecko języka używa, jako cechy jego rzeczywistej przynależności do mniejszości.

Od decyzji Rady Ligi Nar. rząd niemiecki odwołał się do Stałego Trybunału Międzynarodowej Sprawiedliwości w Hadze, który potwierdził tezę polską, że deklaracje o przynależności do mniejszości językowej, narodowej czy religijnej „winny stwierdzić to, co ich autor uważa w danej kwestji za stan faktyczny i że swoboda oświadczenia, jak ijest język dziecka lub ucznia, jakkolwiek dopuszcza pewną dowolność w ocenie okoliczności, nie oznacza przecież nieograniczonej wolności wyboru języka nauczania i szkoły w której nauczanie ma się odbywać“.

Zanim jednak sprawa została przez Trybnał rozstrzygniętą, ukończył na G. Śląsku swe prace wydelegowany przez Radę Ligi Nar. neutralny ekspert pedagogiczny, inspektor szkol. z Lucerny, p. Maurer, który w ciągu 1927 r. badał, w jakim stopniu dzieci, których spór dotyczył, władają językiem niemieckim i czy mogą z pożytkiem korzystać z nauki, w tym języku udzielanej. Z pośród 1755 dzieci przeegzaminowanych —w sposób zresztą bardzo prymitywny, przeszło 60% wykazało zupełną nieznajomość jęz. niemieckiego.

Rada Ligi Nar., wysyłając neutralnego rzeczoznawcę, weszła na właściwą drogę rozstrzygnięcia sporów i walk o dzieci Śląska: Przynależność językową tak, jak my ją pojmujemy, t. zn. jako fakt, a nie jako przejaw woli, z dnia na dzień się zmieniającej określić i ustalić może najpewniej objektywny egzaminator.

Raz przełamana ofensywa „Volksbundu“ na dzieci polskie nie odnosi już sukcesów. Społeczeństwo polskie zorganizowało się, wśród samych Niemców wzrasta poczucie niewłaściwości tego rodzaju akcji, wielu z nich dobrowolnie zgłasza dzieci do szkoły polskiej, wielu domaga się rozszerzenia nauki w języku polskim na pewną ilość przedmiotów w szkole mniejsz., by dziecko niemieckie mogło opanować lepiej język państwowy.

Szczegółowa statystyka najlepiej zobrazuje wzrost i spadek szkolnictwa mniejsz.

Rok	ilość szkół	ilość dzieci
1922	68	23604
1923/24	85	21882
1924/25	93	22243
1925/26	97	23806
1926/27	100	23625
1927/28	89	20479
1929/30	85	18168

Dla porównania dodać trzeba, że na 280.000 obywateli, należących do mniejszości na polskiej części G. Śląska w szkołach mniejszości zarówno powszechnych, jak i średnich kształci się 23.301 uczniów, na niemieckiej zaś stronie na 530.000 Polaków zaledwie 474 uczęszcza do 29 jednoklasowych szkół polskich, a 637 korzysta z kursów języka polskiego. Półmiljonowa „mniejszość“ polska w Opolskiem nie posiada ani jednej szkoły średniej.

Nie wszędzie jednak można równocześnie odnosić sukcesy. Że zaś efekt i zasługi obecnego rządu i Wojewody Śląskiego, Dr. Grażyńskiego, około rozwoju szkolnictwa polskiego na G. Śląsku są niepospolite, dowodem najlepszym przyznanie ich przez samych przeciwników politycznych.

M. Topolski.

---

arkuszy wyjrzała nieubłagana twarz obcego bankiera. Ernst opadł na kanapę. — Sprzedajemy się. Praca polska w złotych więzach dolara. — Kolnicki zerwał się z krzesła. Począł chodzić wzdłuż czterech ścian pokoju. Głuchy odgłos kroków mącił ciszę wstającego dnia. Gdzieś na szosie zaturkotał pierwszy wóz. Inżynier przystanął i zbliżając pobladłą twarz do oszronionej kulkami rosy okiennej ramy: — więc cóż? co dalej?... wszystko rzucić, zaniechać, przekreślić? — Na to znowu Ernst, stukając palcem w kolano: — sprzedajemy się.

— Wszystko rzucić... — grzmiał Kolnicki. — Stać będziemy przed zaśmieconą kałużą miasta, patrzeć będziemy, na tem koniec. Buduje się świat, warczy kołami motorów, a u nas co? Co jest u nas?.. Co jest? Zatęchłe, zakopcone zaścianki, drzemiące w kierunku szarzejących za parkanem pól:— sprzedajemy się? Któż nas może kupić? Kto to wszystko kupi... — kluł palcem dalekie obszary łąk. — Widzisz... — Ernst leniwie podniósł się z kanapy, — wielka rzecz, owies. — Kolnicki przerwał w pół zdania i machnął ręką.

Żółty błysk słońca przebił zielone gałęzie jabłoni. Oto dzień wstawał nad daleką przestrzenią pól. Witają pracę powszednią dalekie dźwięki ostrzonych kos. W stalowych kręgach sierpów padały grube kłosy złotego zboża. — Żniwa się zaczynają — odezwał się pierwszy Ernst, kiedy znowu warczeli na łagodnych skrętach szosy.

Brothers Smith's Company. Kratkowany przedstawiciel odjeżdżał. Po kilkunastu dniach miały być zakończone rokowania. Ale już w samem sercu stolicy kraju. Ostatnie podpisy przy zielonem suknie stołów, tymczasem... Tymczasem trzeba było amerykanina opakować, odwieźć na stację, „załadować“ zręcznie delikatnie, wsunąć bilet. Potem turkoczący gwizdek konduktorski i cichy syk pary w hamulcach wagonów.

Jakieś prostokąty dołów, kwadraty wyrw, przystrojone zielenizną traw grodziły szosę z obydwu stron. Kilka sosen sterczało w gorącym blasku nieba. — Widzisz — zaczął Kolnicki, — leży tu sobie odłogiem szmat ziemi, czeka na pracę ludzką... — Na to Ernst: — sprzedajemy się. —

Kiedy znaleźli się w domu, znowu począł grzebać w beznadziejnych rachunkach, Kolnicki odmierzał równym krokiem połamane płaty olejnych desek i gwizdał.

— Żeby nie te pół, nie te ćwierć, ćwierć ćwierci ułamka... — Więc co? Nie spłacimy? —

— Umrzemy w złotych lejcach, których końce ktoś inny będzie trzymał za oceanem.

— Nieprawda. — Postukując piórem począł wykreślać wielkie schematy linji. — Patrz tu i patrz tu... masz... Dodaj.. odejm.. widzisz, o... — Ernst chwiał głową z niedowierzaniem. — A teraz... — To jeszcze mało. — Inżynier zerwał się z krzesła.

— Bo trzeba wliczyć w ten rachunek... trzeba wliczyć, że tamci dla dolara, my dla pracy naszej, żeśmy jeszcze nie pokazali ile można, jak można, co można... trzeba wliczyć drożdże pracy polskiej, które dopiero kisną... —Przerwali rozmowę w najciekawszem miejscu, zmęczeni kłótnią, kończąc ją długim szeregiem wyblakłych słów o jutrzejszem otwarciu wystawy rolniczej, jeździe, urzędnikach wielkich, którzy długim kluczem żórawi zlecą na kostropate bruki Łasku. Że wystawa zapowiada się... „Wogóle“ będzie bardzo ładnie.

* *

W uderzeniach stalowych kielni, w głośnym szmerze tłumu przeciągała się chwila w nieskończoność. Wreszcie spokojna cisza powiała nad długim szpalem delegacyj. Wysoki, siwy pan wysiadł z auta. Szeroki prostokąt dalekiej piechoty drgnął. Zielony stok sukna zjeżył się białemi igłami bagnetów. Wtedy, wtedy z gorącą falą krwi wlewającej się do serca, szerokim potokiem lunęła melodja. Zahuczały mosiężne gardła trąb a razem z łomotem bębna gdzieś w tyle miarowo uderzały kielnie. Ernst szarpnął się, — niech przestaną. — Kolnicki wstrzymał go łagodnie, wziął pod ramię i ciągnąc do obramowania okna, błyszczącego nazewnątrz gorącem słonecznego lata.— Słyszysz? Czujesz? Kto to kupi, kto? — Ernst spojrzał na kolegę, błyszczącego radością na wszystkich punktach twarzy. — Słyszysz? Czujesz? Rozumiesz? — Powoli radość ta przewijać się poczęła w oczach Ernsta. W takt stalowych uderzeń młotów, razem z tętnicą pracą robotników, biła ku niebu ostra muzyka.

KRONIKA AKADEMICKA

Gdynia

OSTATNI ZAJAZD... NAD MORZEM

(Korespondencja własna).

W tej chwili nie wiem jeszcze jakie wrażenie wywołały w Warszawie zainscenizowane u nas przez nieproszonych gości awantury. My po raz pierwszy mieliśmy możność bliższego zetknięcia się z tym osławionym już podobno „Obozem". Szczerze mówiąc: mamy go dosyć, mamy go po uszy, po szyję. Dotąd uważaliśmy, że burdy, jakie robiła ta organizacja w innych miastach, są nieco przesadzone, nieco (sposobem naszej prasy) wyolbrzymione. Teraz poczuliśmy na własnej skórze jak takie „sprawy" się przedstawiają. Na określenie niepoczytalnych i chamskich wystąpień tej swego rodzaju huligarnerji, trudno znaleźć odpowiednio mocne słowa. Ale nie odbiegajmy od tematu.

Otóż „Obóz Wielkiej Polski" zwołał trzydniowy zjazd do Gdyni. Dlaczego właśnie do Gdyni? Czy w Poznaniu nie czują się już bezpieczniej? Bądź, cobądź, na tej zmianie terenu wyszli jak można najgorzej. A z początku wcale się na to nie zanosiło. Z początku, to znaczy 2-go maja. Poza kilkoma zatargami z przechodniami, jakie wywołali na ulicach Gdyni poszczególni członkowie zjazdu swojemi nieprzyzwoitemi zaczepkami, dzień cały minął spokojnie. Zato nazajutrz tłumiony temperament „zjazdowiczów" okazał się w całe pełni.

Na zjazd przybyło około 900 osób. Cały ten pokaźny ilościowo (ale wcale nie jakościowo) „zastęp" ustawił się w dniu 3-go maja wzdłuż trasy pochodu, który przeciągał przez miasto. Oczywiście, że stać i przyglądać się — to nic zdrożnego. Co innego zupełnie — gwizdać i wydawać nieartykułowane okrzyki. A tak właśnie było. I doprawdy trudno uwierzyć że mógł się znaleźć warjat, który był projektodawcą tej budującej anty - majowej demonstracji i że znalazło się pozostałych 899 warjatów, którzy poparli go całą siłą swych płuc i gardeł. Bo przecież nawet z „obwiepolskiego" punktu widzenia cała ta „manifestacja" była oczywistem warjactwem. Wiadomo, że Gdynia, chociaż młoda jeszcze, ma więcej niż 900 mieszkańców i że Kaszubi są ludem upartym — z tego wniosek oczywisty: lepiej nie zaczynać...

„Owupe" zaczął i poniósł w całości wszystkie złośliwe konsekwencje. Już podczas pochodu dokoła gwiżdżących „obwiepolaków" zebrał się tłum publiczności przybierającej z minuty na minutę coraz groźniejszą postawę. I niewiadomo do czegoby doszło z chwilą przejścia pochodu. Pod adresem rozwydrzonych narrodowców padały coraz głośniejsze okrzyki a cała ulica tak zapchana była ludźmi, że wszelka próba narrrodowej rejterady bardzo opłakane przyniosłaby rezultaty. Jak powiadają naoczni świadkowie, wśród buńczucznych przed chwilą „obwiepolaków" zrobiło się cicho „jakby kto makiem posiał". Z tej opresji wyratowała ich policja pod której eskortą dostali się szczęśliwie do hotelu. Tutaj, czując się już nieco pewniej (ściany są grube) nasi nieproszeni goście poczynają stroić w oknach głupkowate miny i wygrażać pięściami przechodniom. To już dopełniło miary. Wieść o awanturach obiega całe miasto. Przed frontowemi drzwiami hotelu znowu gromadzą się tłumy. Z okien hotelu pada obelżywe wyzwisko. W odpowiedzi na to ktoś rzuca kamieniem. Jakiś „obwiepolec' 'strzela do tłumu z rewolweru. Na odgłos strzału część zgromadzonych rzuca się do zamkniętych drzwi hotelu. Drzwi trzeszczą. Z brzękiem wylatują tłuczone szyby. Wrzawa rośnie. Znowu pojawia się policja, aby po raz drugi osłonić członków zjazdu. Następuje pewne uspokojenie. Tłum się rozchodzi a przestraszeni „obwiepolcy" milczkiem i chyłkiem wymykają się tylnemi drzwiami, żeby udać się na przewidzianą w programie wycieczkę na Hel. Podczas powrotu, już w samym porcie gdyńskim, dochodzi do nowej awantury, policja i tym razem bierze w opiekę narrodowych huliganów. Wracających do hotelu witani są gwizdem i pogróżkami przechodniów. Zdołali już sobie wyrobić odpowiednią „markę".

Tego samego dnia część uczestników nieudanego zjazdu opuszcza Gdynię. Na dworzec kolejowy udają się otoczeni szpalerami policji. Na ulicach znowu tłumy publiczności. Pod adresem „owupe" padają głośne, złośliwe powiedzenia i dowcipy. Tymczasem w mieście pozostało jeszcze 60-ciu największych tuzów „owupe", sami „wielcy oboźni" i „regimentarze". Najważniejsze obrady mają się odbyć 4-go maja. Niestety właściciel hotelu odmawia na ten cel sali. Stropieni „oboźni" przez pół dnia szukają odpowiedniego lokalu. Wszędzie spotykają się z odmową. Udają się wówczas do Kamiennej Góry, ale i tam nikt niechce ich przyjąć. Dawszy za wygraną wyjeżdżają tego samego dnia.

Tak przedstawiają się „wypadki gdyńskie". Wnioski z powyższego niech każdy sam sobie wyciągnie, dziwić się tylko należy łagodności władz administracyjnych, które były w stanie „zjazd" zamknąć i przez to położyć kres gorszącym zajściom, a które otaczały czułą opieką ludzi, zachowaniem swem zupełnie na to nie zasługujących.

St. Kr — cki.

Lublin

AKADEMJA 3 MAJA

W sobotę 3 maja r. b. o godz. 1 pp. odbyła się uroczysta akademja zorganizowana przez Lubelski „Legjon Młodych", ku czci Konstytucji Trzeciego Maja. Obszerna, 1200 osób pomieścić mogąca sala kinoteatru „Corso" była przepełniona na długo przed rozpoczęciem uroczystości. Akademję zaszczycili: Wojewoda Remiszewski, Dowódca korpusu gen. Dobrodzicki, rektor Uniwersytetu ks. Kruszyński, prezes Sądu Apelacyjnego Sekułowicz oraz liczni przedstawiciele innych władz i organizacyj społecznych.

Akademję zagaił Komendant Legjonu kol. Tadeusz Pliszczyński, poczem odczyt o znaczeniu Konstytucji Majowej wygłosił kol. Władysław Tarka. Na dalszy ciąg programu złożył się chór stowarzyszenia śpiewaczego „Lutnia", śpiew solowy p. Sobieszczańskiej i deklamacja sierżanta Jamgi.

Zgromadzeni zerwali się pełni entuzjazmu wznosząc niekończące się okrzyki, na cześć Najjaśniejszej Rzplitej, Pana Prezydenta i Marszałka Piłsudskiego.

Wspaniały przebieg uroczystości dał dowód, że młoda organizacja „Legjonu" już w drugim miesiącu swego istnienia zdołała się wybić na czoło stowarzyszeń akademickich i że zdecydowana jest odgrywać w życiu młodzieży decydującą rolę.

Warszawa

K! PRIORA

Pierwszemi w Polsce korporantkami są „priorystki", członkinie korporacji warszawskiej, istniejącej już prawie rok.

„Priora", mając ambicję być związkiem ideowo - wychowawczym, dąży do ogólnego zreformowania życia korporacyjnego aby w dawną, bezwzględnie przestarzałą formę organizacyjną, wlać ducha współczesności i zgromadzić pod swym sztandarem te rzesze akademickie, które pragną pracować społecznie dla dobra Państwa, przez realizację tych haseł K! Priora staje się pionerem nowego ruchu kobiecego.

BAL KAUKAZCZYKÓW

Dn. 2 maja r. b. związek studentów kaukaskich, Gruzinów, Górali z Azerbejdżanu, urządził niezwykle miły wieczór taneczny. Salony tow. wioślarskiego zapełniły się doborową publicznością, która w wesołym nastroju bawiła się do rana.

Serdeczność i gościnność gospodarzy stworzyła atmosferę szczerej i ochoczej zabawy.

W czasie kolacji gospodarze wznosili toasty na cześć Polski i Jej Prezydenta. Śpiewano pieśń „Pierwszej Brygady", której zebrani wysłuchali, stojąc.

Miłem urozmaiceniem balu był narodowy taniec gruziński, lezginka, która, odtańczona znakomicie z porywającą werwą, spotkała się ze szczerym zachwytem zebranych gości.

Akademja Trzeciomajowa „Legjonu Młodych"

Dn. 3 maja r. b. w Warszawie, w sali Tow. Higjenicznego, „Legjon Młodych" Akademicki Związek Pracy dla Państwa zorganizował uroczystą akademję ku uczczeniu rocznicy wiekopomnej konstytucji 3-go Maja.

Już na pół godziny przed rozpoczęciem akademji tłumy młodzieży akademickiej, młodzieży szkolnej i rzemieślniczej, oraz licznych przedstawicieli starszego społeczeństwa zapełniły salę po brzegi.

Akademję zaszczycili swoją obecnością ministrowie Czerwiński i Staniewicz, gen. .G. OrliczDreszer, płk.płk. Ulrych i Jakubowski i wiele innych wybitnych osób ze świata politycznego.

Akademję zagaił komendant „Legjonu Młodych", kol. Zbigniew Zapasiewicz, witając w serdecznych słowach zebranych.

Przewodnictwo akademji objął gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, który wygłosił krótkie przemówienie, podkreślając rolę dziejową konstytucji 3-go Maja jako triumfu idei państwowej nad pierwiastkami przekupstwa, warcholstwa i zdrady, pchającemi Polskę do upadku.

Referat historyczny o konstytucji 3-go Maja wygłosił prof. Emil Kipa, dając słuchaczom rys dziejowego rozwoju wypadków.

W części artystycznej akademji wystąpił p. Tadeusz Frenkiel, który wygłosił wiersz Kleszczyńskiego p. t. „Książę Józef", oraz p. Stanisław Podgórski, który odśpiewał „Pieśń żołnierza" Moniuszki i „Miesięczna Noc" Niewiadomskiego. Frenetyczne oklaski nagrodziły śpiewaka, który na bis odśpiewał „Trzech grenadjerów" Schumana i „Pierwszą Brygadę". Zebrani w entuzjastycznym nastroju wysłuchali tej pieśni, stojąc, a drugą jej strofkę podchwyciła cała sala.

Na zakończenie akademji ze wszystkich piersi wyrwał się entuzjastyczny okrzyk: „Niech żyje Marszałek Piłsudski". Wznoszono również okrzyki na cześć ministra Czerwińskiego, gen. Dreszera i płk. Ulrycha.

g.

Wybory do Władz Bratniej Pomocy na Wolnej Wszechnicy Polskiej

Zarząd Bratniej Pomocy W. W. P. od trzech lat jest solą w oku O. W. P. — co jest zresztą zrozumiałe, gdyż jest to jedyny Zarząd Bratniej Pomocy, który nie idzie po linji O. W. P.

W tym roku, sądząc z sytuacji jaka się wytworzyła, młodzież obwiepolska szczególnie jest niezadowolona z wyniku wyborów i stara się wszelkiemi sposobami zakłócić spokój.

Jedyną listę, jaka została złożona w przepisanym terminie, do Władz Bratniej Pomocy, prowadzi Kol. Stefan Borkowski znany, ze swej sprężystości i stanowczości, — wybory stały się zatem nieaktualne.

Wichrzyciele ładu i porządku, tumaniąc młodzież, zbierają podpisy do petycji wystosowanej do Rektora W. W. P., podając się za Piłsudczyków lub też za bezpartyjnych, że jednak młodzież akademicka ma swoje wyraźne i dawno ustalone zdanie, co do istotnej wartości „obozu endeckiego" — przeto ostrzegamy!

X Zjazd Walny Związku Harcerstwa Polskiego

W dniach 26 i 27 kwietnia r. b. obradował Nadzwyczajny Zjazd Walny Związku Harcerstwa Polskiego, poświęcony wyłącznie sprawie przebudowy Związku. Uchwały Zjazdu dotyczące głównie większej autonomji harcerstwa męskiego i żeńskiego, oraz wzmożenia wpływu czynnych instruktorów na całość Związku, mają duże znaczenie wewnętrzno-organizacyjne.

Dla szerszego forum ważniejszym jest jednak fakt, że Zjazd ostatni położył (miejmy nadzieję, że raz na zawsze) tamę zakusom na harcerstwo mafji obwiepolsko-klerykalnej. Podkreślamy ten fakt tem bardziej, że ową tamę położyła nie jakaś inna (choćby najbardziej nam ideowo bliska) grupa polityczna, ale ogół pracowników harcerskich, bez różnicy przekonań, rozumiejących, że harcerstwo nie może być bramą wypadową dla żadnego stronnictwa.

Zwolennicy zatajonej jaczejki obwiepolskiej (niebacznie zdekonspirowanej przez oświadczenie jednego z jej stronników p. Maresza) odnieśli zdecydowaną porażkę; w rozstrzygającem głosowaniu już o godz. 3-ej w nocy drugiego dnia obrad zdołali zgromadzić zaledwie 35 głosów przeciwko 88. Tym razem mieli przeciwko sobie już nietylko jednolite harcerstwo żeńskie, ale i conajmniej połowę instruktorów męskich. Wnioski naczelnego kapelana ks. Sobczyńskiego, dążące w kierunku hegemonji kapelanów harcerskich i uczynienia ze Związku organizacji wyłącznie katolickiej poniosły sromotną porażkę. Należy w tem widzieć nietylko zwycięstwo zdrowej myśli harcerskiej, ale i odruch protestu przeciw — ko poczynaniom ks. Sobczyńskiego, który zajmowane przez siebie tak poważne stanowisko traktuje niemal wyłącznie z punktu widzenia możności szerzenia endeckiej propagandy antypaństwowej.

Mamy nadzieję, że ksiądz kardynał, oświecony wynikami Zjazdu czemprędzej wycofa niefortunnego nominata.

Ośmieszył się również doszczętnie zajadły (choć zajadle się tego wypierający) ajent obwiepolskich jaczejek, osławiony Glass. Bolszewickie (czyżby się ich nauczył w „walce z bolszewizmem") jego wystąpienia wzbudziły powszechny niesmak i spotkały się z potępieniem olbrzymiej większości zgromadzenia.

Przewodniczył p. Strumiłło, mimo całej swej dobrej woli, nader niefortunnie. Potoki jego wymowy przedłużyły Zjazd conajmniej o jedną trzecią. Przewodniczące zapominał ciągle, że nie jego rzeczą jest agitowanie za — lub przeciw pewnym wnioskom. W sprawach formalnych natomiast nie orjentuje się zupełnie.

Podnieść należy ogromną dwudniową pracę Komisji Statutowej Zjazdu, która umiała zdobyć dla swych wniosków potrzebne ⅔ głosów. Duża w tem zasługa wyłonionej przez Zjazd poprzedni Komisji Przebudowy, która pod przewodnictwem p. M. Wocalewskiej, naczelnej inspektorki harcerskiej zdołała w ciągu paru miesięcy przerobić materjał wynikający z licznych, a często przeciwstawnych sobie projektów.

OSOBISTE.

Celem uniknięcia ewentualnych nieporozumień, komunikujemy, że artykuł p. t. „Polacy na obczyźnie" zamieszczony w Nr. 4 „Kuźnicy" odzwierciadlał jedynie osobiste poglądy p. K. Zieleniewskiego i że wobec tego nie może on być traktowanym jako opinja redakcji „Polaków Zagranicą" lub też „Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy".

ŚWIĘTO ROBOTNICZE

Rokrocznie, pierwszego maja — klasa pracująca święci swe wielkie wiosenne święto, widoczny przegląd swych zorganizowanych sił.

Zarówno w Polsce, jak i na całym świecie socjalizm przeżywa stadjum intensywnego, wewnętrznego przeobrażania się. Konflikt, zachodzący między piękną treścią a twardą rzeczywistością — jest zbyt bolesny i w swej boleści zbyt ważki, aby nad nim należało z punktu przechodzić do porządku. Niedawno byliśmy świadkami dwu gorszących faktów, jeżeli chodzi tylko o nagą formułę moralności socjalistycznej. Rząd niemiecki pod przewodnictwem socjalisty Müllera rozpoczął serję... literową słynnych pancerników, rzekomo w celu ochrony przed „najazdem" polskim. I drugi fakt: Socjalistyczny rząd Wielkiej Brytanji — godzi się na uwięzienie w drodze „administracyjnej" wodza hinduskich niepodległościowców — Mahatmy Ghandiego. Tak oto w rzeczywistości zaprezentowały się partje socjalistyczne, grające w drugiej międzynarodówce — pierwsze skrzypce, jeśli chodzi im o własne utylitarne mniejsza, że może wyimaginowane, cele. Niemcy i Anglicy, ci sami niemieccy socjaliści, którzy przez usta prezydenta Reichstagu Loebego tak lubią grzmieć na „faszyzm" i „ucisk" polityczny w Polsce a ostatnio nie mieli wskutek rządowego zakazu, możności odbycia publicznie we własnym kraju święta pierwszomajowego.

Oto w taki sposób odnoszą do haseł równości socjalistycznej leaderzy organizacyj socjalistycznych w państwach, które wcale nie przeżywały martyrologji stu pięćdziesięcioletniego niebytu. Anglicy, którzy potrafią łapą imperjalizmu zdusić przejawy wolnościowe Hindusów, i Niemcy, budujący pancerniki rzekomo dla obrony przed Polską.

Widzimy, jasno jak na dłoni, że wśród najpotężniejszych partyj drugiej międzynarodówki krzewi się przedewszystkiem państwowa racja stanu, stając się równocześnie probierzem użyteczności haseł socjalistycznych.

W Polsce, w kraju, który mozolnie wywalcza sobie wolną, niepodległą historję, który się twórczo buduje na gruzach rozbitej niewoli — nikomu też, zapomnieć nie wolno o państwowej racji stanu, zmierzającej do umocnienia państwowości w sensie mocarstwowego przetworzenia. Chyba najpierwszym wnioskiem z położenia geograficznego Polski i z tradycji ostatnich trzystu lat dziejów wynika, iż tylko wówczas na terenie polskim może być jakakolwiek przemiana trwała, o ile ten teren będzie zabezpieczony przed zakusami obcych. Wobec tego, umocnienie Państwa, jako myśl przewodnia Piłsudskiego i przemiana dzisiejszej Polski na Polskę socjalistyczną—są ze sobą w bezpośrednim, przyczynowym związku. Jasnem jest więc, że współczesnym nakazem dla polskiego socjalisty —będzie nie przeciwstawianie się państwowo-twórczym poczynaniom Piłsudskiego, ale użyczenie żarliwej pomocy największemu dziś Człowiekowi w Polsce w jego tytanicznym trudzie budowania.

Tymczasem, kierunek t. zw. cekawistyczny — jest na to obojętny z mniej lub więcej wyraźnych powodów osobistych, wskutek zadraśnięcia czyjejś ambicji i miłości własnej. Jednak wzrastająca z każdym dniem liczebność Frakcji P. P. S. — wskazuje, że proletarjat wie doskonale, iż dawny tow. Ziuk—dzisiejszy Marszałek, twórca słynnej i historycznej już Organizacji Bojowej — czyni zawsze dobrze dla proletarjatu, kładąc podwaliny pod potęgę mocarstwowego Państwa Polskiego.

Z takich powodów obchód tegorocznego święta robotniczego — był właściwie opowiedzeniem się za Piłsudskim czy przeciw Niemu. I okazało się najdowodniej, że słuszna racja socjalizmu państwowego, skupionego pod zasłużonemi, staremi sztandarami Frakcji P. P. S., — z każdym dniem potężnieje. Proletarjat idzie za Wielkością, nie przeciw Niej. Dlatego, mocny entuzjazm „fraków" gasił znaczenie demo-liberalnych, zendeczonych quasi socjalistów, jednego z najjaskrawszych przejawów „gasnącego świata, socjalistów", broniących istniejącego status quo. Wszyscy doskonale orjentują się, że cekawistom chodzi nie o socjalizm, a o walkę na podłożu urażonych osobistych ambicyj z osobą Piłsudskiego. Zrozumiała to i oceniła najtrafniej „Gazeta Warszawska" z dn. 2 maja b. r. — czyniąc uwagi na marginesie święta majowego, że CKW, to „socjalizm" lojalny, praworządny demonstrujący za likwidacją systemu", zaś niebezpieczeństwem dla endeków jest Frakcja P. P. S., bo chce w miarę swych proletarjackich sił pomóc Komendantowi w słusznej budowie państwowości polskiej. Oczywiście, iż endecja i jej cekawistyczne przybudówki — to obóz gasnącego świata, zaś Piłsudczycy — jedyny dziś obóz twórczej pracy państwowej.

Podobnież jak obchody święta pierwszomajowego w ostatnich latach niewoli były rewją sił polskiej irredenty niepodległościowej w obliczu wroga, podobnie i dziś — są rewją sił w obliczu przejawów gasnącego świata. Pochody pierwszomajowe Frakcji,w szeregu miast prowincjonalnych, w pierwszym rzędzie Warszawy, były tak tłumne i licznie zorganizowane, iż każdy mógł się najlepiej i najdowodniej przekonać, że polska klasa robotnicza stoi przy Komendancie — dawnym tow. Wiktorze— niezmiennie.

Zadziwia tylko, pośród szczupłego pochodu t. zw. cekawistów — w Warszawie— znaczna stosunkowo grupa akademików. Jest to jeszcze jeden z dowodów, może najjaskrawszy, że gasnący świat ma jeszcze chwilowe oparcie wśród młodzieży akademickiej. I dziś niema żadnej różnicy między matołem z Owupe, a krzykaczem z Z. N. M. S.-u Podczas ostatnich wyborów do N. K. A. zdarzały się wypadki, że poszczególny cekawista akademik głosował na listę obwiepolu, dlatego... że na terenie akademickim jest to najbardziej teraz opozycyjny zespół w stosunku do poczynań Piłsudskiego. Wiemy też, że powagę odczytu p. K. Świtalskiego odbytego w sali Tow. Higjenicznego — usiłowali zakłócić korporanci z owupe i korporanci z Z. N. M. S.-u (tacy też są). Bardzo miła, a dużo dająca do myślenia zgoda.

W dniu pierwszym maja akademicy z K. A. M. S. — szli w szeregach pochodu Frakcji P. P. S., dając mocne świadectwo swą obecnością, że zaprzaństwo ideowe kol. cekawistów jest na wyczerpaniu i że podobnież jak organizacja cekawistyczna, znajduje się obecnie w stanie szybkiego rozkładu, podobnież ma się rzecz z endekującym Z. N. M. S.-em. Życie polskie nie może być negacją własnej państwowości!

Czynny.

Życie sportowe

Wrażenia i refleksje z matchu tennisowego Polska - Rumunja.

Głośne i ciche życzenia sportowców całej polski spełniły się.Reprezentacyjna drużyna nasza w składzie: M. Stolarow, J. Stolarow i I. Tłoczyński pokonała reprezentację Rumunji w stosunku 3 : 2.

Barw Rumunji bronili: zahartowany w tego rodzaju spotkaniach, wieloletni mistrz Rumunji Mishu, typ gracza nieprzyjemnego na korcie, ale grającego nadzwyczajnie skutecznie, oraz młody, lecz rutynowany gracz Poulieff, który swoją sympatyczną sylwetką prawdziwego sportowca, podbił odrazu serce trybun.

Matchy rozgrywane w ciągu 4 dni na reprezentacyjnym korcie W. K. S. „Legja", były śledzone z zapartym oddechem przez tłumy widzów, które przejmowały się grą w sposób nienotowany dotychczas w sporcie polskim. Podniecenie to było zrozumiałem, gdyż stawką było przejście do następnej rundy gier o puhar Davis'a, przejście o którem marzyliśmy bezskutecznie od lat 5, bici zawsze bezapelacyjnie 5 : 0.

Wygrana przyszła nam ciężko. Po drugim dniu zawodów, gdy Rumunja prowadziła 2 : 1, nikt nie śmiał myśleć o wygranej. A jednak wygraliśmy. Tłoczyński i M. Stolarow zdobyli się na nadzwyczajny wysiłek sportowy i, grając z bezprzykładnem poświęceniem (Tłoczyński), zdołali przechylić szale zwycięstwa na naszą stronę.

Sukces ten mamy do zawdzęczenia przedewszystkiem młodziutkiemu i utalentowanemu graczowi A. Z. S.-u poznańskiego, Tłoczyńskiemu. Potrafił on wnieść do gry, oprócz dużej już techniki, tyle ambicji i hartu sportowego, że przynosi prawdziwy zaszczyt swemu klubowi. Dzięki Tłoczyńskiemu, w pierwszym dniu zawodów, po przegranej M. Stolarowa do Mishu w stosunku 6 : 3, 4 :6, 6 : 4, 6 : 1, kiedy mistrz Polski wyprowadzony z równowagi rozmaitością uderzeń Mishu, oddawał mu gema za gemem bez walki, trybuny odetchnęły zobaczywszy piłki Tłoczyńskiego, szybkie, pewne, dokładne.

Nikt nie wątpił o wyniku; zwycięstwo jego nad Poulieffem zostało przyjęte entuzjastycznie. Zwycięscę zniesiono z kortu na rękach. Wygrana Polski zdawała się nie ulegać wątpliwości.

A jednak... jednak drugiego dnia dzięki fatalnej grze braci Stolarow w grze podwójnej, zaprzepaściliśmy jeden, zdawało się pewny punkt, i szanse nasze znowu zmalały do minimum.Wynik matchu 1 : 6, 6 : 2, 6 : 3, 7 : 5 dla Rumunów, podziałał deprymująco na wszystkich. Główną winę ponosi tu J. Stolarow, który, o ile dobrze gra na matchach towarzyskich, o tyle w grach o znaczeniu poważniejszem, traci głowę i gra o wiele gorzej, wytrącając w dodatku z równowagi swego brata.

Trzeciego dnia podniecenie trybun doszło szczytu. Na pierwszy ogień ruszył Tłoczyński. Jego gra z Mishu była małę epopeją, która przejdzie do historji tennisu polskiego. Tłoczyński w zdumiewającym stylu zmusił Mishu do kapitulacji, po ciężkiej pięciosetowej walce.

W piątym secie Tłoczyński prowadzi 2:0, lecz wskutek strasznego kurczu w nodze schodzi z kortu. Wszyscy w bezruchu czekają na wynik masażu. Po chwili wraca, kulejąc, aby wśród krzyków rozentuzjazmowanej publiczności wygrać gema. Gemy stoją 3 : 0 dla Tłoczyńskiego. Gem czwarty. Nowy kurcz, jeszcze straszniejszy. Znowu przerwa, tym razem dłuższa. Wszyscy myślą — koniec. Lecz Tłoczyński nie daje za wygraną, wchodzi na plac i choć ból widnieje mu na twarzy, ustawia się na środku kortu i zaczyna grać. To już jest coś, co wyszło poza ramy zwykłego sportu. To jest zmaganie się woli z ciałem, gdzie wola zwycięża. Trzeba było widzieć, żeby zrozumieć ten cały heroizm.

Ostatnie gemy wykazały cały jego talent w pełni. Nie mogąc biegać po korcie, Tłoczyński zaczyna grać halfvoleyami i voleyami ze środka placu. Piłki padają na ostatnią linję. 4 : 0 i 5 : 0 dla Tłoczyńskiego. Ostatniego gema serwuje Tłoczyński pośród niedającego opisać się entuzjazmu. Setball. Bomba Tłoczyńskiego. Mishu rzuca się ale napróżno. Piłka zaledwie dolatuje do siatki. Match nasz. Polska wyrównała. Stosunek punktów 2 : 2. Mishu wściekły ciska rakietę o ziemię. Tłoczyńskiego porywają i niosą na rękach do szatni. Kwiaty, ściskania, całowania. Wynik matchu: 6 : 3, 7 : 9, 7 : 5, 4 : 6, 6 : 0 najlepiej charakteryzuje zażartość walki.

Ostatni i decydujący o wygranej całego spotkania, match, pomiędzy M. Stolarowem i Poulieffem mimo, że stał na wysokim poziomie sportowym, nie dał widzom tyle emocji co poprzedni. I to może jest najbardziej jaskrawym dowodem talentu Tłoczyńskiego, że gra jego porywa trybuny, co bywa udziałem tylko najlepszych tennisistów świata w rodzaju Cocheta czy Borotry.

Obecnie Tłoczyński posiada pewne braki, jak niepewną pierwszą piłkę serwisową, złe ustawianie się w czasie gry za linją serwisową. Jednak są to drobnostki w porównaniu z tem, czego się nauczył od zeszłego roku.

Maks Stolarow dopiero w trzecim dniu pokazał prawdziwe swoje zalety. Nierozegrany przez pierwszego seta, wszedł w grę w ciągu drugiego, aby pędząc Poulieffa z rogu w róg, precyzyjnemi piłkami z for- i backhandu, wygrać bez trudu dwa sety następne. Wynik setów w trzecim dniu brzmiał 6 : 8, 6 : 1, 6 : 2 dla Maksa Stolarowa. Niestety ciemności nie pozwoliły ujrzeć zwycięstwa Polski tego dnia. Dopiero nazajutrz, po uciążliwej walce, w której wynik wisiał na włosku, M. Stolarow, oddawszy czwartego seta 7 : 9, po wyczerpującej nerwowo walce, wygrał seta decydującego o wygranej Polski 6 : :4.

W ten sposób drużyna Polski w zmienionym przez kapitana związkowego składzie: Tłoczyński, Warmiński i M. Stolarow spotka się w dniach 10, 12, 13 maja z reprezentacją Anglji w Torquay.

Przypuszczalna porażka naszych tennisistów nie może zmniejszyć dumy A. Z. S. poznańskiego, że, z pośród trzech graczy reprezentacyjnego zespołu, dwóch z nich nosi barwy A. Z. S.

K. Kossobudzki.

SURM
Inicjatywa akademicka

W ostatnich dniach kwietnia, z pośród grona młodych działaczy społecznych, grupujących się w Kole Akademickiej Młodzieży Socjalistycznej, a z inicjatywy kol. Marysi Strzeleckiej — zorganizowany został, jako pierwsza tego rodzaju instytucja w Polsce, — uniwersytet korespondencyjny dla robotników. Świeżo powstała instytucja, będąc właściwie Sekcją Samokształceniową Stowarzyszenia Oświaty Robotniczej — ma za zadanie w pierwszym rzędzie dosyłać perjodycznie naszej robotniczej prowincji referatów na pewien określony temat. Referaty te — wysyłane w odstępach tygodniowych — mają być polem dyskusji na zebraniach samokształceniowych wśród robotników. Oraz ewentualne zapytania — skierowywać do Sekretarjatu Uniwersytetu Korespondencyjnego, Wioślarska 10 w Warszawie.

Już sam fakt, że **Społeczny Uniwersytet „Razem Młodzi"** czyli **SURM**—powstałz inicjatywy akademickiej, świadczy i jest stwierdzeniem, że nie cała młodzież akademicka jest tak bezideowa jak korporanci wszelkiego autoramentu.

Dotychczas **SURM** rozesłał dwa referaty: posła Medarda Downarowicza o święcie pierwszomajowem, oraz posła Antoniego Pączka o Śląsku.

Ze swej strony życzymy młodej, społecznie pożytecznej placówce jaknajwiększego rozwoju. Należałoby życzyć, iżby na obszarze całego Państwa nie było ani jednej organizacji robotniczej, któraby nie korzystała z usług **SURMU**, któraby **SURMU** nie abonowała.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca — **Marjan Piotrowski.** Redaktor naczelny **Wiesław Wernic.** Adres redakcji i administracji Aleje Ujazdowskie 37 m. 23 III p. tel.: 445 16

Zakłady Graficzne Pracowników Drukarskich, Nowy Świat 54, Tel.: 15-56 i 242-40.